

WYDZIAŁ BIBLIOTEKI

zdarzenia

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

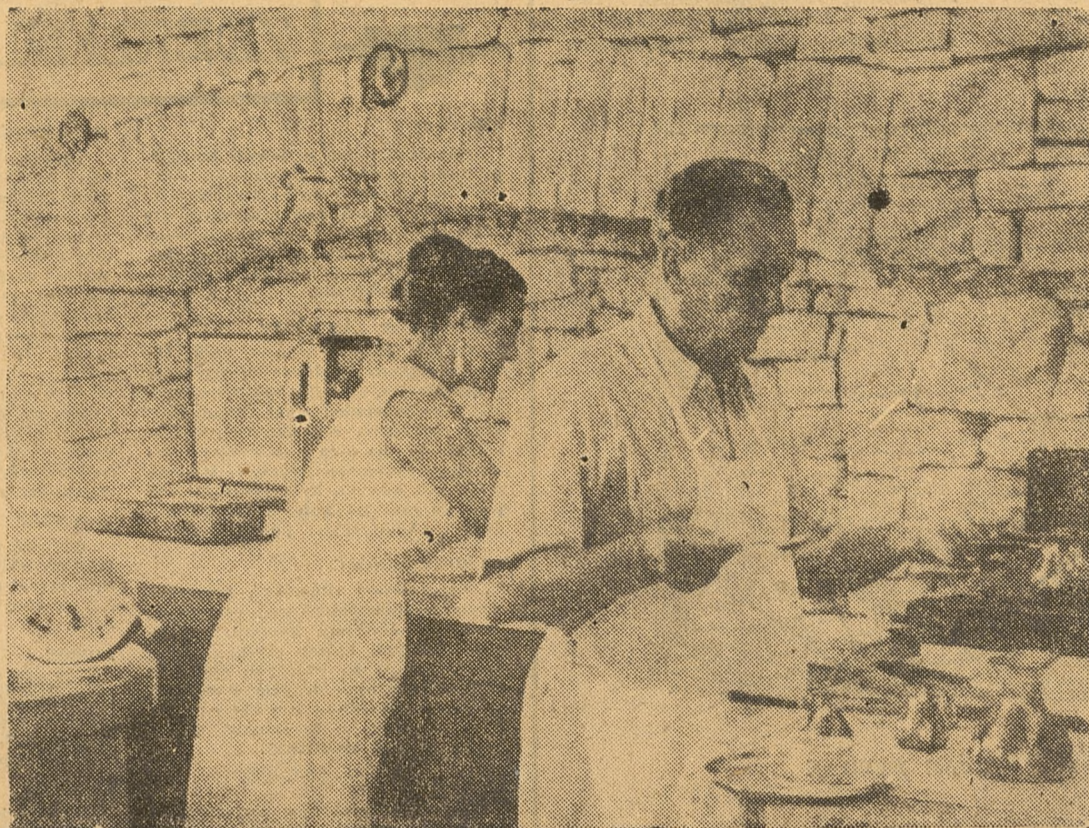
KRAKÓW

22. IX. 1957 r.

Nr 20

CENA ZŁ 1.50

NA USTACH



WSZYSTKICH

SZTUKA

Po 18 latach wraca do kraju jeden z naszych najwybitniejszych scenografów — Tadeusz Orłowicz.

Tym, którzy znają Orłowicza z działalności przedwojennej, pragniemy przypomnieć kilka jego ciekawszych prac, tym zaś, dla których to nazwisko jest zupełnie nowe, dać kilka historycznych już dziś faktów i scharakteryzować pokrótce dorobek artystyczny.

Ukończywszy w roku 1935 studia malarskie w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, Orłowicz zgłosił się do ówczesnego dyrektora teatru im. Słowackiego, Karola Frycza z prośbą o przyjęcie go na praktykę scenograficzną. Przedstawione przez młodego plastyka makiety i szkice zainteresowały Frycza. Orłowicz po krótkiej praktyce otrzymał do samodzielnego opracowania trudną sztukę Niżyńskiego „Trzy mgły”. Jak młody

Przez cały okres swej pracy w teatrze (do wybuchu wojny 1939) pracuje Orłowicz z reżyserem Radulskim. Współpraca ta dawała zawsze ciekawe rezultaty, co podkreśla zgodnie prasa recenzująca ich spektakle.

Nie dysponujemy niestety zdjęciami do interesujących sztuk wystawionych w maju 1937 — „Cesarz Jones” O'Neila i „Jeńcy” Marinetti; recenzje znowu zwracają uwagę na stronę dekoracyjną przedstawienia.

Wielkim sukcesem Orłowicza były dekoracje do sztuki Marcela Acharda „Korsarz”. Antoni Waśkowski omawiając szczegółowo dekoracje tak pisze w Głosie Narodu z dn. 11 października 1938: „z wielką pomocą przyszedł tu reżyserowi p. T. Orłowicz, który problem dekoracji rozwiązał pomysłem: za kompozycję stylowej kajuty okrętowej i pomysły sylwetki zagłowca, dostał artysta brawo po odsłonięciu kurtyny”...

Wystawiona w grudniu tego roku „Baba-dziwo” Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, przynosi znowu współpracę z Fryczem, projektującym kostiumy. Następna premiera,

sem za zasłoną dokonywała się zmiana głównej dekoracji, co bez sceny obrotowej odbywało się tak szybko, że wystarczyły tylko cztery paazy...

...Z groteskowymi, prawie infantylistycznymi dekoracjami, harmonizowały groteskowe kostiumy książąt, którzy też wykonują ruchy groteskowych manekinów... Pasterz wyglądający jak najstarszy z krasnoludków... błazen dworski, którego tradycyjny kostium urozmaica podwójna krótka krynolinka... od tych jaskrawych kostiumów groteskowych odbijają stylowe kostiumy o delikatnych barwach pary kochanków idyllicznych... a przede wszystkim stroje księżniczek Rozalindy i Celiny, w średniowiecznych wysokich „głowach cukrowych” — ze spadającymi w tył welonami”...

Ostatnią przed wybuchem wojny sztuką opracowaną przez Orłowicza była — Światopelka — Karpińskiego i Waldena „Dziś flagi”.

Omówione pokrótce sztuki nie dają dostatecznego wglądu w całość kształtu twórczości tego interesującego scenografa. Szczegółowa analiza wymagałaby znacznie więcej miejsca i obszernej dokumentacji fotograficznej. Zresztą o powojennej działalności artysty w Anglii — gdzie dostał się po wojnie przebytej w obozie jenieckim — nie mamy dokładnych wiadomości. Jeżeli po swoim powrocie, który ma nastąpić w końcu września Tadeusz Orłowicz udzieli nam wywiadu, będziemy mogli poinformować czytelników dokładniej o jego wojennych i powojennych losach oraz o planach na przyszłość.

W następnym numerze zamieścimy dalsze zdjęcia z inscenizacji plastycznych Orłowicza.

ORŁOWICZ WRACA DO POLSKI

malarz wywiązał się z tej pracy, świadczą — oprócz opinii prof. Frycza — recenzje, wszystkie entuzjastyczne, podkreślające ekspresyjność i piękno dekoracji i poświęcające im wiele miejsca. I tak np. recenzent „Czasu” z dnia 14 listopada 1935 r. pisze:

„...Malarz Tadeusz Orłowicz ukształtował „szescian” pokoju w ten sposób, że na jakimś szarym stożku, przez który prowadzą do góry schodki, umieścił na czarnym tle srebrną drabinę pod zegarem, prawą stronę wypełnił olbrzymim fortepianem otwartym, lewą olbrzymią stalugą, górę obramował olbrzymim zodiakiem błękitnym ze stalami znakami niebieskimi, a boki zasnuł szarym tłem. Ta dekoracja świetnie harmonizowała z wizjami poety... i zdobyła niemiędsze od niego uznanie...”

Po tym tak udanym debiucie dyrektor Frycz angażuje Orłowicza na stałe, powierzając mu do opracowania sztuki ciekawe i trudne. Często też współpracuje z nim — projektując kostiumy — jak np. do wystawionej w karnawale 1937 komedii „Armont'a i Marchand'a „Krawiec na zamku”. Zachowane z tego przedstawienia zdjęcie pozwala ocenić dowcip i lekkość dekoracji. Ówczesni widzowie podnoszą jeszcze specjalnie walory kolorystyczne — co jest zresztą charakterystyczne dla wszystkich jego prac — umiejętność śmiałego operowania świetnie zestawionym kolorem.

„Jak wam się podoba” Shakespeare, w reżyserii, jak zawsze, Radulskiego wywołuje żywy oddźwięk. Wszyscy recenzenci szeroko omawiają stronę plastyczną przedstawienia, a Z. Jachimcki w Ilustrowanym Kurjerze Codziennym z dn. 7 czerwca 1939 r., nie zgadzając się na jego zdaniem, zbyt groteskową interpretację sztuki, przyznaje jednak wysokie walory plastyczne — oprawie dekoracyjnej. Inni recenzenci chwalił całą całość spektaklu. T. Sinko w „Czasie” 7 czerwca 1939 r., pisze: „...trzeba przypomnieć koncepcję inscenizacyjną reżysera Radulskiego wyrażającą się już w dekoracjach i kostiumach, projektowanych w porozumieniu z nim przez p. Tadeusza Orłowicza.

Te średniowieczne zamki warowne i ich przekroje z jedwabnymi kotarami, ten las Ardeński z palmami, świerkami i wiśniami utrzymane są w stylu groteskowym znanym nam z dobrych ilustracji książek dla dzieci. Jest to prymityw operujący jaskrawymi barwami i uproszczonymi kształtami, więc np. świerk to stożkowaty pień ze stożkowatą koroną z kilku rzędów twardych wiór.. palma to różowy słup z nalożoną na wierzchu strzępiastą palmą itp... Na pierwszym planie umieszczono dwie niskie rampy ze schodami, pozwalające na malownicze grupowanie osób, a ile razy kto miał wypowiedzieć monolog do publiczności, spuszczano lekką zasłonę z odpowiednim krajobrazem. Tymcza-

PANNA MŁODA DUSI SIĘ

W zdarzenie zupełnie niecodzienne. Nigdy bym nie przypuszczał, ażeby czyjaś choroba doprowadziła do wykrycia fałszerstwa. Chociaż cała sprawa zaczęła się tak normalnie, jak tysiące innych w naszym życiu. Otóż pewien pan ofiarował swej narzeczonej selskinowe futro, płacąc oczywiście za nie odpowiednią cenę. Owa pani skorzystała z prezentu dopiero w dniu ślubu i oto w parę chwil pośród weselnego orszaku wybuchło niesamowite zamieszanie. Podawano sobie wiadomość... panna młoda się dusi.

Oczywiście zamiast na ślubnym kobiercu panna młoda znalazła się w klinice. Tam po szczegółowych badaniach ustalono, iż organizm pacjentki uczulony jest na sierść króliczą. To stwierdzenie z kolei doprowadziło właśnie do wykrycia wspomnianego wyżej fałszerstwa. Okazało się mianowicie, iż rzekomo selskinowe futro było po prostu wykonane z odpowiednio preparowanych skórek króliczych.

Historijka ta, aczkolwiek autentyczna, nie jest tym razem wprowadzeniem w akcję jakiejś sensacyjnej afery. Nie uwierzycie, że ludźmi, którzy najbardziej się nią interesują, nie są pracownicy komórki śledczej MO, ale lekarze. I właśnie oni tę i jej podobną historię sprowadzają do jednego zjawiska, które określa się mianem alergii.

POLSKA I PYŁKI

Choroby alergiczne są tak samo niebezpieczne jak każda inna choroba i w żadnym wypadku nie należy ich lekceważyć. Mogą one doprowadzić do znacznych szkód w społeczeństwie.

Wystarczy tylko powiedzieć, że w Polsce 7 proc. społeczeństwa choruje na choroby alergiczne przy czym na astmę cierpi 1,5 proc. ludności, zaś 1/3 z tego stanowią dzieci. Na inną z chorób alergicznych

MEDYCINA

zwaną skazą wysiękową na każde 1000 dzieci zapada 130 spośród nich. Najbardziej rozpowszechnione są tzw. katary alergiczne — pyłkowe. Według obliczeń krakowskich specjalistów z tej dziedziny, choruje na (Dokończenie na str. 5)

PODRÓŻE

„BATORYM” DO KOPENHAGI

Pasażerów „Batorego” żegnała na nadbrzeżu gdynskim orkiestra („Góralu czy ci nie żal), równocześnie na statku inny zespół wykonywał marsze i kujawiaki — wytworzył się więc niesłychany harmonider charakterystyczny zresztą dla lubiących nadętą pompę Polaków. Kiedy sylwetki odprowadzających zniknęły za falochronem, pasażerowie rozpoczęli zwiedzanie statku. Niektórzy na próżno usiłowali znaleźć punkt pocztowy, gdzie mogliby nabyć i przestać do kraju pamiątkowe kartki ze zdjęciami np. naprawdę znakomitych, nowych wnętrz „Batorego”. Inna grupa naiwnych zachęcona wtrzymami, za którymi widniały atrakcyjne, zagraniczne towary, pragnęła zakupić coś w sklepiku okrętowym — i tu spotkał ich srogi zawód. Okazało się bowiem, że za bony, którymi obdziewano nas w zamian za polską walutę można jedynie dostać w barze wódkę, zaś sklepik sprzedaje tylko za dewizy — ponieważ zaś ewentualne dewizy należało deponować w urzędzie celnym w Gdyni — więc sklepik po prostu pozostawał zamknięty przez całą podróż.

Ranek zastał nas na pokładzie, gdzie tłocząc się przy burcie wykorzystaliśmy lornety w stronę ukazującej się coraz wyraźniej Kopenhagi. W porcie, pod ogromnymi żbiornikami „Esso” i „Shell” kręcili się panowie w białych killach, sędziłszy początkowo, że to lekarze — byli to jednak zwykli robotnicy. Na nadbrzeżu stał szereg limuzyn oraz kilku motocyklistów w białych hełmach, których wzięliśmy za policjantów nie wiedząc jeszcze, że na motocyklach i skuterach ze względów bezpieczeństwa nie wolno jeździć bez hełmu ochronnego (inaczej niż w Polsce, gdzie jest tak duży przyrost naturalny, że jeśli taki jeden czy drugi motocyklista rozbił się sobie głowę, to dziury w niebie nie będzie). Wkrótce spuszczone trap i postawiliśmy stopę na kapitalistycznym lądzie, jednak pomimo, że zostawiono nam tu pełną swobodę a wejście i wyjście ze statku było nieomal niekontrolowane — podobno żaden Duńczyk nie uciekł do Polski. Autokary uwiózły nas do miasta, a przewodnicy przemawiając po niemiecku do mikro-

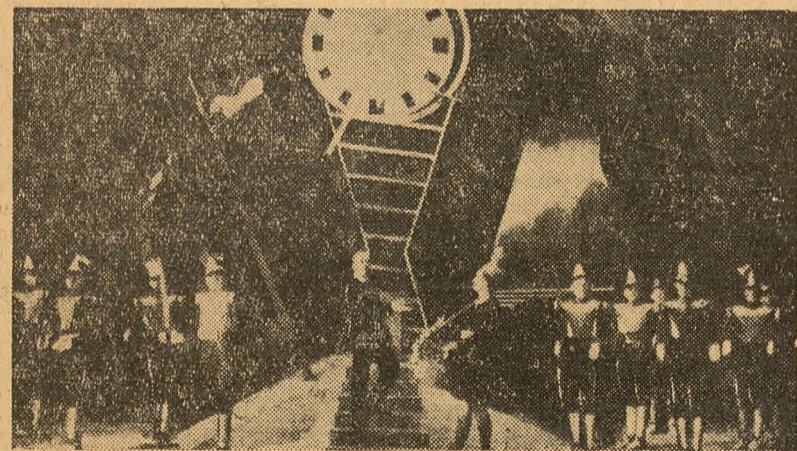
fonów zapoznawali nas z historią Kopenhagi i z entuzjazmem pokazywali zamek królewski, stare dzielnice portowe, zamek Rosenberg, muzeum Thorwaldsena itd. Biedni — nie rozumieli dlaczego wśród polskich turystów znacznie większy entuzjazm potrafi wzbudzić np. wystawa sklepu z obuwiem, nowoczesny blok mieszkaniowy czy neonowa reklama. — Popołudnie przewidziane było na rozkoszne zwiedzanie miasta samopas. Z namaszczeniem kroczyliśmy tedy bojąc się naruszyć nieskazitelną czystość chodników i jezdní, które nie były ani zaplute, ani zasypane niedopalakami i śmieciami i wykazywały zupełnie brak błota i kurzu. Kilkogodzinny marsz po ulicach miasta nie powoduje zakurzenia butów, a opony i karoserie samochodów lśnią jak gdyby wyjechały pro-

wał wściekły szofer, lecz uśmiechnięci panowie dawali mi znaki dłonią, bym spokojnie osiągnął przeciwny chodnik. Podobno tu takie zwyczajne, Widziałem zderzenie Volkswagena z Simcą — jeden z nich miał mocno wgniecioną maskę — z wnętrza wozów wysiedli dwaj starsi panowie, wymienili wizytówki z adresami, ukłonili się sobie i odjechali. Na ulicy incydent ten nie zwrócił niczyjej uwagi, towarzyszywo ubezpieczeniowe wypłaci odszkodowanie — po co więc awantura? — Zaskakującą uprzejmość dla polskiego, zastraszona klienta wykazuje również obsługa sklepów (jedną z ekspedientek, niezwykłej zresztą urody i pełną wdzięku chciał jeden z kolegów pocałować w rękę) — to też mając w kieszeni za ledwie kilka koron nie mogliśmy odmówić sobie przyjemności grzebania w galanterijnych, książkowych i innych cudach, przymierzając dziesiątki świetnych krawatów. — Wieczorem czekał nas szal w „Tivoli”. To urocz miasteczko rozrywk z zawrotną ilością automatów, strzelnic, czarodziejskich domków, szatańskich kolejek, elektrycznych samochodzików a także kawiarni, dancinów, rewii i koncertów wywołuje mocne wrażenia i budzi smutne niekiedy refleksje. Nie jesteśmy bowiem przyzwyczajeni do widoku ludzi w wieku od szesnastka do staruszka bawiących się znakomicie — pełną gębą — bez użycia kropli alkoholu. U nas musi się pić — bo cóż można zrobić innego, nikomu nie przyszło jeszcze do głowy, że ustawienie kilku rozrywkowych automatów nawet na ulicach może zamienić tzw. chuliganów w normalną młodzież.

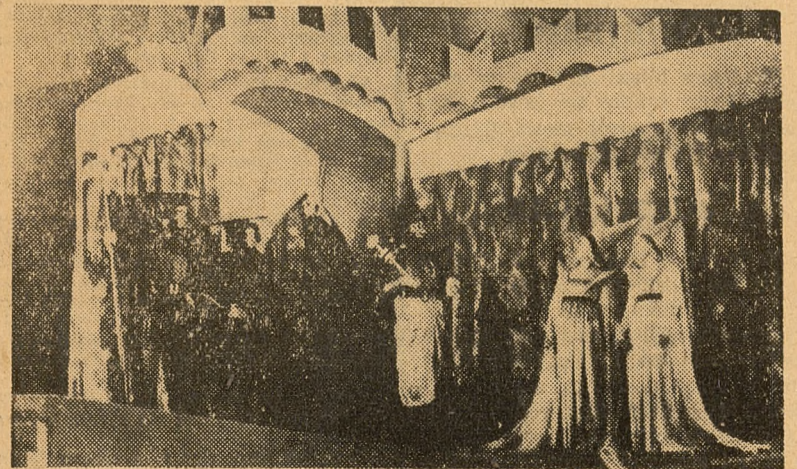
Zbyt szybko nastąpił powrót. Na „Batorem” pocieszało pasażerów jedynie doskonałe menu, choć nie każdy wiedział, że jeśli zażąda z karty np. zupę Mozart to otrzyma jarzynową. Na marginesie zauważam, że podawane w pierwszym dniu czary pomarańcz zastąpiono później jabłkami (a święty angielski excusez moi — papier toaletowy Bronco był tylko w pierwszym dniu) — no cóż, ostatecznie pasażerami byli prawie wyłącznie Polacy — nie warto więc było się wysilać. Niesłychany bałagan i zamieszanie, jakie wywołał prawdopodobnie WOP-iści, którzy wkroczyli na statek już w okolicach Hełu, celem dokonania niezbędnych formalności, zwiastowały, że zbliżamy się do ukochanego kraju. Zreżnic kierowani zarządzeniami celników, po postępowaniu na redzie, traktując współpasażerów i ich bagaże, wśród wrzasków i przekleństw osiągnęliśmy ląd już w cztery godziny po zawinięciu „Batorego” do portu w Gdyni. (Orkiestra w międzyczasie grała hymn państwowo).

Pociąg, którym wracałem do Krakowa przybył spóźniony bez widocznego powodu o trzy i pół godziny. Tak, to już na pewno Polska.

mgr inż. arch.
Adam Berestyński



„Trzy mgły”, reż. Radulski, akt I, r. 1935



„Jak wam się podoba” Shakespeare, reż. Radulski, r. 1939

(Dokończenie ze str. 4)

nie u nas w kraju ok. 4 proc. ludności.

Polska ze względu na swoje ukształtowanie geologiczne posiada szczególnie sprzyjające warunki po temu, aby nasze organizmy były uczulone. Bo pomyślmy tylko: na północy kraju koncentrują się jeziora tworzące mgły, które jak wiadomo sprzyjają utrzymywaniu wszelkich zanieczyszczeń w powietrzu. Na południu natomiast zgrupowane są uprawy zbóż, których pyłki w czasie kwitnienia stanowią istną zmołę dla wielu organizmów. Wystarczy bowiem dwa do trzech pyłków, aby już wystąpiły objawy choroby, gdy tymczasem jeden miligram substancji pyłkowej zawiera 7-8 mln pojedynczych pyłków. Proszę sobie więc teraz wyobrazić, jakie mogą być skutki, jeżeli wziąć pod uwagę, że z 1 ha uprawy zbóż powstaje do 90 kg pyłków. Stąd zapadanie na choroby alergiczne w Polsce jest olbrzymie.

Największe skupisko alergiczne stanowią: województwo krakowskie, okolice Starachowic, Kalisza, Lublina, Przemysła, Poznania i Bydgoszczy. Najzdrowsze natomiast jest województwo kieleckie.

JEDYNY ODDZIAŁ

Co trzeba robić, aby powstrzymać dotychczasowe szerzenie się najprzeróżniejszych odmian schorzeń alergicznych?

W wypadku astmy lub skazy u dzieci, istnieje z gruntu błędny sąd — nawet wśród lekarzy — że z tego się wyrośnie. Nieprawda!!! Każda nieleczone choroba rozprzestrzenia się coraz bardziej, przenosząc się z pokolenia w pokolenie, powiększając już i tak znaczny procent alergików.

Jedyną radykalną metodą jest fachowe leczenie lekarskie w szpitalu. Lecz aby leczyć w szpitalu, trzeba go po prostu mieć.

W Polsce schorzeniami alergicznymi zajmuje się jedyny Oddział Alergiczny Kliniki Akademii Medycznej w Krakowie.

Na parterze istnieje więc tu przychodnia alergiczna, która udziela miesięcznie ok. 1.100 porad ludziom przybywającym z najdalszych zakątków kraju. Ludzie ci czekają do momentu badań po kilka dni w hotelach, u znajomych, lub po prostu na dworcu. Dlaczego? — Z braku miejsca.

Obok przychodni rezyduje skromniutka jadłodajnia, w której niemal każdy chory spożywa innego rodzaju posiłek (np. ktoś jest uczulony na buraki — nie może ich jeść, ba, nawet zapach tych produktów powoduje atak u chorego), dlatego każda grupa chorych powinna mieć izolowane pomieszczenia. Niestety, tak być nie może. Dlaczego? — Brak miejsca.

W sąsiedztwie wspomnianej jadłodajni mieści się pracownia analiz i gabinet profesora. Tu w małych klitkach wykrywa się alergeny (to, na co jest się uczulonym), tu do każdej analizy trzeba wszystko sprzątać ze stołu, aby przygotować aparaturę do następnych badań. A jak są one skomplikowane, ile zawierają kombinacji, świadczy następujące wydarzenie.

Zdrowy do niedawna pilot odrzutowa (szkolenie takiego pilota jest niezwykle kosztowne) od pewnego czasu zaczął się czuć bardzo źle. Doszło do tego, że ze względu na nieodpowiedni stan zdrowia, komisja lekarska nie mogąc doszukać się przyczyn orzekła, iż nie może on więcej latać. Ow pilot trafił do kli-

niki w Krakowie i tutaj po paru dniach badań, wykryto, że jest on uczulony ni mniej ni więcej tylko na... pierze znajdujące się w pierzynie stanowiącej od niedawna posag jego żony.

Inne pierzyny mu nie szkodziły...

CO SIĘ LEPIJ OPLACA?

Takie badania wymagają jednak odpowiednich pomieszczeń, na które w „stajence” nie można sobie absolutnie pozwolić. A co dopiero mówić o urządzeniu tzw. pokoju bezalergenowego, tj. całkowicie odizolowanego od świata — jeżeli w Oddziale walczy się dosłownie o centymetry, na które można by wstawić bodaj jedno łóżko. Każde łóżko zaś to wcześniej odratowany człowiek.

Niestety, sprawa ta nie znajduje zrozumienia w naszym resorcie zdrowia. Od czterech lat nie stać nas na zbudowanie w Polsce porządnej kliniki chorób alergicznych. Widocznie lepiej jest wydawać 1.440 zł na jednego tylko astmatyka rocznie (bo tyle kosztuje domowe leczenie nie licząc opuszczonych dni pracy), aniżeli zdobyć się na krótsze i tańsze leczenie w klinice.

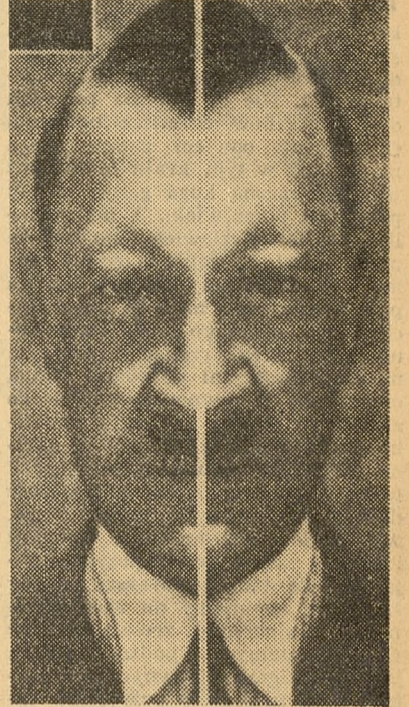
Nie będę pisał, że Ministerstwo Zdrowia musi spełnić postulat wybudowania tego rodzaju kliniki, bo słowa takie są już od dawna w modzie, a najczęściej pozostają tylko na papierze. W zamian za to pozwolę sobie przedstawić pewien rachunek: jeden astmatyk w czasie choroby pobiera dziennie z ubezpieczalni na lekarstwa które wcale nie usuwają schorzenia — 40 zł, choruje przeciętnie 36 dni w roku, astmatyków — jak się już rzekło — mamy w Polsce 1,5 proc. Proszę więc pomnożyć. Co się lepiej oplaca?

Przemysław Marcisz

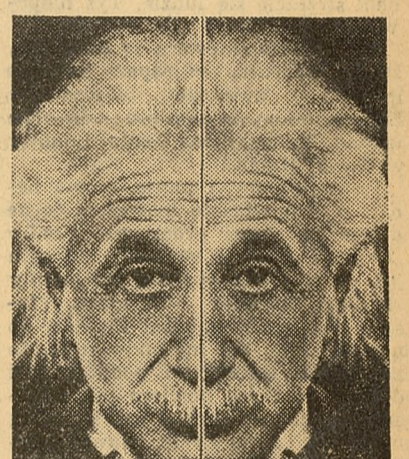
M E T O D A „PÓŁTWARZY”

PSYCHOLOGIA

Profesor Wolff z USA lansuje nową metodę badawczą. W lewej półkuli mózgu zlokalizowane są centra wszystkich wyższych funkcji człowieka. Nadają one charakterystyczne piętno prawej połowie twarzy. A więc — zestawienie prawych połówek naszych twarzy potęguje te cechy. Pozwała psychologowi na szybkie i dokładne określenie charakteru badanego. Czy metoda ta istotnie ma wartości poznawcze i czy stanie się naprawdę metodą uznaną przez naukę trudno w tej chwili wyrokować. Jednakże spojrzenie na zestawienia połówek twarzy (prawych i lewych) istotnie zdaje się potwierdzać wartość twierdzeń uczonego. Przyjrzyjmy się zestawieniom prawych i lewych stron twarzy kilku słynnych postaci. Zestawienia na pierwszy rzut oka pozwalają określić charakter.



ADOLF HITLER. Lubił szczególnie fotografować się z dziewczynkami podającymi mu kwiatki. Tego wyjątkowego „przyjaciela dzieci” demaskują fotografie, szczególnie zestawienia połówek twarzy. Spójrzcie. Prawe połówki: twarz z nich zestawioną cechuje ogromna złośliwość i brutalność. Lewe połówki podkreślają cechy intelektualne: przecież to gęba idioty. Profesor Wolff dodaje jeszcze do tej charakterystyki: kompleks niższości człowieka, który jako artysta nigdy niczego nie osiągnął a jako wódz wiecznie był niepewny swego i w kwalifikacjach nie przeszedł rangi starszego strzelca.



ALBERT EINSTEIN
Jeden z największych matematycznych geniuszy wszystkich czasów Jego odkrycia zdecydowanie zmieniły oblicze świata. Ten namiętny pacyfista stał się mimo woli ojcem... bomby atomowej. Prawe połówki twarzy ukazują: klasyczny wizerunek człowieka o wielkiej potęgę intelektualnej ale zarazem świadczą o tragicznym odosobnieniu Einsteina od świata. Był to badacz szczególnie oddany swym dociekaniom, zbyt często rzeczywistość dla niego nie istniała. Obraz lewy jest inny: pod jeszcze wyżej sklepionym czołem — skupiona twarz, twarz naznaczona jakąś potężną troską. Widać że ten największy czarodziej naszych czasów rozpełtał siły — nad którymi już sam nie może zapanować. I zdaje sobie z tego w pełni sprawę.



SOPHIA LOREN
Twarz bardzo harmonijna. Świadczy o tym prawe i lewe zestawienia połówek twarzy. Prawe połówki — świadczą o jej zdecydowaniu osiągnięcia życiowych celów „po trupach”. Lewe połówki — mówią o prawdziwym talencie. Tak twierdzi profesor Wolff. Ze Loren potrafi walczyć bezwzględnie przekonująco o swojej wartości (znane na ogół, nie będziemy ich tu powtarzać), a czy ma istotnie talent? Na razie oglądaliśmy z nią jeden film, który twierdzenia Wolffa wcale nie potwierdzał. Zobaczymy.

Prof. dr Bolesław SKARŻYŃSKI

Członek PAN

MOSKIEWSKIE SYMPOZJUM

MEDYCYNA

naradą naukową odbywającą się w stosunkowo wąskim gronie, ale za to szczególnie dobranych specjalistów. Wśród przeszło 150 uczestników większość oczywiście stanowili gospodarze, ale kraje poza granicami Związku Radzieckiego reprezentowane były przez około 50 uczestników, z przewagą uczonych ze Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji. Wśród nich znajdowali się uczeni o światowej sławie, np. W. Stanley ze Stanów Zjednoczonych, pierwszy, któremu udało się uzyskać wirusy w postaci czystych krystalicznych substancji chemicznych, L. Pauling, jeden z najwybitniejszych badaczy białek, uczony cechujący się olbrzymią osobistą odwagą, inspirator słynnej odezwy naukowców amerykańskich protestujących przeciwko próbom z bronią jądrową. Żywy udział w obradach brał świetny angielski badacz J. Bernal, do niedawna wiceprzewodniczący Międzynarodowej Rady Obronców Pokoju, oraz laureat Nobla, R. Synge, którego genialnie pomyslane metody badawcze zrewolucjonizowały biochemię w ostatnim dziesięcioleciu. Trudno wyliczać wszystkich wybitniejszych uczestników, można tylko powiedzieć, że na Sympozjum moskiewskim zebrała się śmietanka biochemii światowej.

Poszczególne posiedzenia Sympozjum poświęcone były odrębnym problemom, wiążącym się z zagadką powstania życia na ziemi. Astro- i geofizycy dyskutowali wyczerpująco warunki istniejące na naszej planecie jakie umożliwiły powstanie pierwszych substancji organicznych i organizowania się żywej materii. Wiele uwagi poświęcono sprawie wytwarzania się składników żywych organizmów na skutek działania sił przyrody martwej. Oczywiście wirusy, będące dziś dogodnym modelem hipotetycznej materii żywej jeszcze nieorganizowanej w postaci komórek, były obiektem nadzwyczaj żywej dyskusji. Sympozjum zakończyły posiedzenia poświęcone pierwszym krokom ewolucyjnym żywych organizmów i wykształcaniu się ich przystosowania do pierwotnie panujących na ziemi warunków.

Problematyka Sympozjum była tak bogata, że jej omówienie nawet tylko pobieżne wypełniłoby duży tom, tym więcej, iż poruszone zagadnienia dotyczyły nie tylko biochemii, ale zahaczały o geologię, geochemię, fizykę, naukę o dzie-

(Dokończenie na str. 8)

pośród wszystkich podstawowych problemów nauk przyrodniczych zagadnienie powstania życia na ziemi było tym, które najdłużej opierało się ścisłemu naukowemu podejściu. Było ono tym zagadnieniem, w zakresie którego tradycyjne wierzenia i nauki religijne zwycięsko dominowały nad próbami naukowego materialistycznego tłumaczenia. Nawet najbardziej trzeźwi biologowie utożsamiali początki życia na ziemi z egzystencją tworów cechujących się strukturą biologiczną taką samą, jaką posiadają najprostsze, znane nam dziś organizmy żywe, a więc jednokomórkowe bakterie. Ponieważ jednak te dla nas najprostsze organizmy są tworamami o nadzwyczaj już złożonej budowie i czynnościach, istotnie wytłumaczenie powstania takich organizmów skutkiem działania sił nieożywionych na podstawie znanych nam praw fizyki i chemii, było niemożliwe.

Przełomowym momentem w tej dziedzinie było wystąpienie przed 25 laty znakomitego biochemika radzieckiego, A. I. Oparina, który sformułował pierwszą opartą na naukowych założeniach, logicznie rozwiniętą teorię powstania życia na ziemi, jako wyniku procesów toczących się w przyrodzie martwej. Streszczenie poglądów Oparina na tym miejscu jest niemożliwe, zresztą poglądy te w pewnym stopniu zostały już u nas spopularyzowane. Najistotniejszą myślą Oparina był pogląd, że pierwotnie, w zamierzonych epokach dziejów naszej planety powstały działaniem sił przyrody nieożywionej różne związki organiczne, a więc te substancje, z których zbudowane są żywe organizmy, a dopiero później, również skutkiem działania elementarnych praw fizyki i chemii, wytworzyła się z tych substancji pierwsza żywa materia, tzn. przejawiająca zjawiska tzw. przemiany materii, nie uformowana jeszcze w postaci komórek, nie ukształtowana w tej formie jaką przyjmują dziś wszystkie żywe istoty. Nawet najprostsze żywe organizmy w dzisiejszym tego słowa pojęciu, jednokomórkowe bakterie, były wyrazem już trwającej setki milionów lat ewolucji żywej materii.

Śmiałość poglądów Oparina, ich radykalna sprzeczność ze wszechwładnie panującymi wierzeniami religijnymi, ich materialistyczna treść, nie sprzyjały ich rozpowszechnieniu się. W miarę rozwoju nauki dostarczała jednak coraz więcej faktów, które przemawiały za słusznością myśli radzieckiego uczonego. Stwierdzono np., że tzw. wirusy, zarazki przesykalne, są bardzo złożonymi substancjami chemicznymi nie mającymi budowy komórkowej, a okazującymi pewne — jakkolwiek nie wszystkie — przejawy życia. W pracowniach amerykańskich stwierdzono, że istotnie w warunkach jakie panowały na ziemi przed miliardem lat, z prostych pierwiastków i związków chemicznych, jak wodór, azot, dwutlenek węgla i woda mogą powstawać elementarne składniki białka, a więc zasadnicze tworzywa żywej materii. Materialistyczna teoria Oparina coraz to bardziej traciła charakter czysto myślowej hipotezy i przybiera-

ła realną, wspartą na faktach treść.

Ten stan rzeczy skłonił Międzynarodową Unię Biochemiczną do zwołania specjalnej konferencji naukowej, poświęconej przedyskutowaniu poglądów Oparina i faktów, na jakich się one mogą wspierać, ażeby na podstawie takiej wymiany myśli sformułować pewne wytyczne dla dalszych systematycznych badań w tej dziedzinie. Organizację takiej konferencji powierzono prof. Oparinowi, który korzystając z wydatnej pomocy Akademii Nauk Związku Radzieckiego zwołał w drugiej połowie sierpnia bieżącego roku w Moskwie Międzynarodowe Sympozjum na temat powstania życia na ziemi.

W odróżnieniu od wielkich międzynarodowych kongresów naukowych, na których poszczególni uczestnicy giną w tłumie kolegów po fachu, bez możliwości wyczerpującej i gruntownej wymiany poglądów, Sympozjum moskiewskie było

OBYCZAJE

Ach, mospanie, zali to uchodzi?

Kraj nasz dziwny jest. Od początku do końca. Na początku było bowiem nawracanie, na końcu pewnie także nawracaniem się skończy. (wybaczenie, o puryści! dwa słowa „koniec” w jednym użyciu zdaniu. Nie są one na prawach dwóch grzybów w misce barszczu. O grzybach bowiem będzie mowa niżej) Otóż w tym kraju to już jest tak: jak zaczyna kogo ganić, to mu pamiętają przez wieki. A jak chwalić — to także człowiek i po śmierci przed chwałą natrętną uciec nie zdoła... Pewien znany mi działacz na polu publicystyki miał to nieszczęście, że się na długo przed Październikiem wychylił, rzekąc iż przyjaźń między niektórymi narodami winna opierać się na równouprawieniu, co zresztą na piśmie wyraził i opublikować miał odwagę. Czasy to dawne, przyszedł Gomulka i potwierdził to pragnienie, a naród wdzięczność dlań w sercu chować będzie długo. Ale działacz ów ongi się wychylił i do dziś mu to pewni przypominają: Wyście tam, towarzyszu, wtedy to i owo, nie mamy do was zaufania... Najpewniej zresztą pamięć Odpowiedzialnych podtrzymywana jest nawykami do pewnych schematów, albo twierdzeń przyjętych jako niewzruszone. Powiedziano w piśmie świętym, iż Mojżesz wywiódł swój naród na górę (Synaj? pomożcie, bom w piśmie owym nielegi) — więc uczniowie i wyznawcy powtarzają i powtarzać to będą przez następne tysiąclecia. Człowiek kocha mało myśleć. Kocha mieć wszystko na talerzu. Dlatego do niedawna tak łatwo się żyło nam wszystkim: wiadomo było: masz ciotkę w Australii, oho! strzeżcie się ludzie. Tyś niepełen. Albo... itd.

Proszę panów i panie, mowa będzie o tym właśnie teatrze, a ściślej o jego ostatniej premierze, Fredry „Nowym Don Kichocie”, którym już się zdążył zachwycić znakomity skądinąd koneser — Ludwik Flasz. Nie wiem co pisał Flasz, bo nie czytałem, ale mi opowiadali, że powiedział, iż reżyser podobny jest do samego Boga, bowiem tak porusza figurami na scenie, jak sam Bóg na scenie Teatru Życia. (Nawet jeżeli tak, Ludwiczku, nie powiedział, to ja skreślać tego zdania nie będę, bo ładne).

Wydać mi się, że Flasz dał się złapać „na nazwisko”. Gdy piętnastoletni Geniusz postawi kropkę

nać „z”, to stu brodatych profesorów będzie się spierać: czy to wynik swoistej wymowy autora, wpływ języka regionalnego, czy też może błąd drukarski. Każda z hipotez może być słuszną i spory takie trwają przez dziesięciolecia. Naukowcom bowiem nigdy się te rzeczy nie nudzą. A w tekście „naukowo opracowanym” raz będą pisać „zrebieć” raz „zrebieć”.

Otóż takim „zrebieciem” przez „z” pisanym wydaje mi się być Teatr zwany teatrem Skuszanki. Miał dobre przedstawienia, miał znakomite. Do Znakomych zaliczono: „Myszki i ludzie”, „Jacobowski i pułkownik”, do dobrych „Miarka za miarkę”, „Bohatera naszego świata”, „Księżniczkę Turandot”. O „Nowym Don Kichocie” powiedziano na razie mało: Flasz rzekł „genialne”, Greń Zygmunt — „kabaretowe”. Przylączęm swój głos, jako że mam prawo i ochotę. Otóż:

Uważam — wbrew utartemu aż do młodości obyczajowi chwaleńca tego teatru — że przedstawienie jest szalenie kiepskie. Pierwszy śmiertelny cios zadał mu Józef Szajna swoimi, delikatnie mówiąc, nieadekwatnymi dekoracjami, a Szajna i Garlicki podobnymi kostiumami. Drugi cios wymierzyła temu przedstawieniu koncepcja reżyserska, jak się wydaje okrutnie pogięta przez dostosowanie do dekoracji i kostiumów. Spór to nie jest jałowy, jakkolwiek tam było: najpierw Krawowski wykombinował takiego Fredrę, potem Szajna zrobił dekorację, czy odwrotnie. Efekt jest raczej żalony. Cóż bowiem zostało w tym przedstawieniu z Fredry?

NAZWISKO NA PLAKACIE.

Czy to mało?

Głos z nieba: To wiele.

Ja: Mało! Mało! Mało!

Głos z nieba: Nie krzycz. Argumentuj.

Ja: Jakich ci trzeba?

Głos z nieba: Takich, które mógłbym uznać za swoje.

Ja: Nie znam cię, ale pozwól. Myślę, że jak się robi Fredrę, to nie koniecznie trzeba przywdziewać go w cudackie portki i wołać: a kuku, patrzcie jacy to my jesteśmy konsekwentnie nowoczesni. Księżniczkę Turandot ubraliśmy w takie same portki, Bohatera naszego świata również. Miarka za miarkę, o! więc czy Fredro od nich gorszy?

Głos z nieba: Stop. To ma swoją myśl. To ma być satyra na dotychczasowy sposób wystawiania Fredry:

Ja: Ach tak? Ale czy satyrę na Fredrę napisał sam Fredro? Przyszłam, że nie spotkałem...

Głos z nieba: Głupi! Czy pamiętasz jak Pyrkosz podsłakuje, gdy jest przebrany za babę? On podsłakuje jak kura i gadać jak kura. Czy to nie znakomity chwyt satyryczny?

Ja: Jestem zdumiony tym odkryciem!

Głos z nieba: Zdumiewaj się sobie, ale słuchaj dalej: Czy pamiętasz jak Kmotr — Rączkowski udaje głuchego? On to robi z głębnią! On to robi z akustycznym zezem!

Ja: Owszem, Rączkowski zawsze jest świątny, ale to nie on zepsuł „Don Kichota”. On go tylko nie potrafi podtrzymać...

Głos z nieba: Zabawny!

Ja: Być może, ale odpowiedź mi,

czemu wcisnięto tych bohaterów w te — pozwól — szajnowe szmaty, czemu tak starannie wypłukano tekst (w mówieniu) z i tak nielicznych przecież powiedzonek, które, gdyby je wydstać — ruszyłyby widownię?

Głos z nieba: Dlaczego obrażasz Szajnę? To bardzo zdolny scenograf...

Ja: Wiem. Bywał dawniej znakomity. Ale teraz zrobił sobie „szkolę Szajny” i tak się zagalopował, że przeoczył, że Fredro to jednak Polak i coś go tak od Wildera czy Steinbecka różni... Zrozum mnie dobrze, ale to jest druga skrajność — od kontusza, karabeli i złoconych tronów w teatrze Słowackiego — po jakieś kosmopolityczne gatki i każda skarpetkę inną. To wcale Fredrę nie pomaga.

Głos z nieba: Gadasz jak tradycjonalista! Więc jak miał zrobić?

Ja: Jak! Nie moja rzecz — rządzić, bo się obrażają. Ale scenograf powinien pamiętać co opracowuje. Skarykaturować polski kontusz, karabelę, wąż sarmacki, skarykaturować w duchu Fredry, boć przecie i on skarykaturował wszystkich bez mała swoich bohaterów! Ale tekst satyryczny Fredry nijak nie przystaje do pomysłu, sztampowego już teraz, bo nie wnoszącego nic nowego w porównaniu z przedstawieniami poprzednimi, do pomysłu i realizacji Szajny.

Głos z nieba: Ale ta chorągiewka Karola — Matysika! Genialna! To jest skrót!

Ja: Szefie! Na litość Boską!

Głos z nieba: Czego? Nie uważasz?

Ja: Szefie, powiedz — ach! Gdzie się podział Fredro?

Głos z nieba: Jak to, nie wiesz? Fredro umarł!

Ja: Rozumiem. Dlatego nie może się bronić...

Głos z nieba: Potępiłeś ciekawy teatr. Czemuś to uczynił?

Ja: Mówisz jakbyś pieśni religijne pisał. Uczyniłem, ponieważ zląknęłam się o teatr Nowej Huty. Im się zdaje, że stworzyli już jakąś szkołę, a to jest tylko worek. Jeżeli będą nadal pakować w ten sposób Szekspira i Fredrę i Goldoniego, to sobie potłuką gnaty... Ale a propos Goldoniego: to było piękne przedstawienie. „Piankowe” jak powiedziała pewna aktorka. Faktycznie — piankowe. Tam wszystko grało i współgrało ze sobą. Każdy element dekoracji i stroje i tekst i interpretacja. A tu każda noga w inną stronę...

Głos z nieba: Jednak widać z tych słów, żeś tradycjonalista. Trawiłeś wszystko, a Fredro w tym sosie utknął ci w gardle...

Ja: Nie lubię, gdy mi podają ten sam sos do różnych potraw. Ot co! Ale jeżdż na ziemię, niech ci się przyjrzą.

Głos z nieba: Zląkł na ziemię — patrzcie, a to ja sam, tylko Przestraszony co to będzie, kiedy się ktoś ośmieli rzeć iż teatr Nowej Huty coś ci począł się łamać...

Zląkł tedy, a zląkszy, spytał mnie obcesem: Ach, mospanie, zali to uchodzi?

BOHDAN DRZDOWSKI

KULISY WIELKIEGO BAŁAGANU

Na niedawnej konferencji prasowej w Filharmonii Narodowej w Warszawie zabrał głos m. in. dyr. Urbański z Państwowych Zakładów Nagrań Dźwiękowych. Odpowiedział on na pytania zespołu Filharmonii w sprawie nagrywania płyt, a to co odpowiedział rzuciło bardzo ciekawe, lecz niezbyt przyjemne światło na sprawę nagrań i płyt.

Zakłady Nagrań (podlegające Ministerstwu Kultury) trudnią się — jak łatwo się domyśleć — nagrywaniem muzyki, jednak nie na płyty a jedynie na taśmy. Tak przynajmniej było jeszcze do niedawna. Dopiero ostatnio, w spadku od Ministerstwa Przemysłu Drobno- i Rzemiosła otrzymały zakłady wytwórnictwo płyt — niestety w stanie nadającym się do wszystkiego tylko nie do normalnej produkcji... To naturalnie wpływa na to, że płyt polskiej produkcji stale jest jeszcze za mało. Produkujemy rocznie około 4 miliony płyt, a powinniśmy produkować trzy razy tyle. Przynajmniej trzy razy tyle! W dodatku zakłady zależne są w pewnym stopniu od... MHD. Dostarczać muszą to, co MHD zechce zamówić do sprzedaży, a handlowcy rzadko tylko umieją ocenić wartość muzyki poważnej.

Nie to jest jednak najgorsze. Najgorsza jest kwestia rozprowadzania nasychnych taśm za granicą.

Dyr. Urbański przyjeżdża po Europie

MUZYKA

demonstrując nagrania m. in. także i Filharmonii Narodowej. Nagrania te wzbudziły dość silny zachwyt, zarówno w Paryżu, jak i Brukseli, Niemczech zachodnich i Związku Radzieckim. W Holandii, w słynnej wytwórni płyt Philips'a, przegrano kolejno taśmy X. Symfonii Szostakowicza pod dyr. Wodiczki i pod dyktando znakomitego, światowej sławy dyrygenta Dmitri Mitropoulisa i przynano, że... polskie taśmy są o wiele lepsze. Dyr. Urbański mówił to zresztą jako komplement także i pod własnym adresem. Jakość taśmy zależy bowiem nie tylko od poziomu wykonawców, lecz również od umiejętności i obfitości montażu. Z kilku czy nawet kilkunastu nagrań jednego utworu przez ten sam zespół, wybiera się po prostu i montuje najlepsze fragmenty z każdego nagrania, co w sumie stwarza imponującą całość. Zagraniczne firmy nie mogą sobie pozwolić na tak liczny montaż, gdyż przy tamtejszych honorariach i robociznie ogromnie podrażałoby to koszty produkcji.

Tak więc zagranica zachwycała się naszymi taśmami i czolowe wytwórnie płyt proponowały wyjątkowo dobre warunki ich nabycia (11 proc.

cenę sprzedażnej płyty — naturalnie wszystko w dewizach). Zdawało by się, iż oferty przyjmujemy z entuzjazmem bo to i znakomita propaganda i grube tysiące dolarów... Ale to nie my!

Zakłady Nagrań nie mogą bowiem same decydować o sprzedaży swoich produktów — muszą się tym zająć inne, odnośnie ministerstwa. W tym wypadku sprawą zajęły się Ministerstwo Finansów i Ministerstwo Handlu Zagranicznego. Ministerstwo Finansów akceptuje proponowane warunki i popiera transakcję. Opiera się natomiast minister Trampczyński, uważając oferty za „nie do przyjęcia” (jak twierdzi orientujący się w kwestii płyt doskonale dyr. Urbański, są to jedne z najwyższych stawek w Europie!). W zasadzie cała sprawa nie powinna w ogóle dotyczyć Ministerstwa Handlu Zagranicznego, bowiem w myśl uchwały sejmowej sprzedaż licencji (a do tego typu transakcji należy sprzedaż taśm do produkcji płyt) podlega wyłącznie Ministerstwu Finansów. Wdał się w to wszystko jednak wicepremier Jaroszewicz, który przyznaje racje Ministerstwu Handlu Zagranicznego... Skutek jest oczywisty. Ministrowie radzą, taśmy leżą bez żadnego pożytku, grube tysiące dolarów wyrykają się nam z rąk, a wytwórnie zagraniczne zaczynają już mieć dość interesów z tak niepoważnym partnerem.

Bałagan panujący w tych sprawach drogo, bardzo drogo nas kosztuje.



TEATR

SZUKA CZY TYRADA?

Teatr im. J. Słowackiego sięgnął po „Sokratesa” Jerzego Zawieyskiego. Trzeba przyznać, że rzeczony teatr, przeżywający dość przykry okres depresji repertuarowo-wykonawczej — i tym razem „podłożył” się pod ciętą uwagę krytyków i recenzentów.

zawarte nie w jakimś toku wydarzeń scenicznych — lecz w dialogach. Ba! Te dialogi często są po prostu nudnymi tyradami, długimi monologami. Tak samo próba wprowadzenia na scenę chóru, któremu przewodniczy poeta Eginos jest również próbą chybioną. Jak wiadomo chór w dramacie greckim nie tylko komentował toczącą się akcję sceniczną, ale rozwijał ją, uczestniczył niejako w jej

Bronisław Dąbrowski reżyser „Sokratesa” bał się widocznie skreślać, a skreślać można było, że aż ha! Rozbudowanie scen zbiorowych było niepotrzebne, w przeciwieństwie do Masek, które tłumaczyły tekst Zawieyskiego lepiej, niż wszystkie inne chwytły reżyserskie.

Z wykonawców — Kazimierz Fabisiak starał się z przeładowanej dużą ilością słów roli wydo-



Rys. JERZY NAPIERACZ

Dramat Zawieyskiego jest sztuką statyczną, denerwuje swoim przegadaniem. Cała treść dramatu — tragedia genialnego Sokratesa, który głosząc słuszną hasła walki o prawdę, o jej subiektywne pojmowanie przez człowieka — ginie z wyroku ludzi małego serca, przyzwyczajonych do wygodnego porządku myśli — wszystko to jest

rozwoju. W „Sokratesie” chór bardzo żałuje filozofa i wykrzykuje co chwile „O Apollinie!” i „O Sokratesie!” — i stanowi tylko jakiś zbędny ozdobiak. Szczytem jednak niekonsekwencji scenicznej jest tańiec Autonoe — jakiegoś „towarzyskiego intermedium” zupełnie nie mający nic wspólnego z treścią utworu Zawieyskiego.

być akcenty dynamiczne. Maria Gella, jak zwykle, potraktowała postać Ksanitpy bardzo wnikliwie, starannie.

A dekoracje? Były bardzo interesujące. Nie dlatego, że reprodukowałyśmy je parę miesięcy temu — ale po prostu dla ich pełnej wartości artystycznej — podkreślamy, że wydobływały one nastroje poszczególnych scen. (JORKS)

FILM

MEŻCZYŹNI SĄ NIEZADOWOLENI

Tak, mężczyźni po tym filmie wychodzą z kina niezadowoleni. Narzekają że bohatera zrobiono co najmniej na kretyna i fajtę i że wszystkie sytuacje są niemal zupełnie niemożliwe. Wreszcie konkludują ze złością: „banal, banal straszliwy”. I właśnie to oburzenie jest miernikiem wartości filmu „Kochanek o północy” (produkcja francuska). Doradzamy wszystkim mniej i więcej szanownym panom obojętnie tego obrazić gdy tylko wejdziesz na ekran. Jeśli nawet poważni skąd inąd znawcy sztuki filmowej wychodzą z kina trochę oburzeni to znaczy że wciągnęli ich problematyka i akcja. A więc film choć istotnie nie wypowiada żadnych genialnych myśli ani nie rozwiązuje palących problemów współczesności jest co najmniej sugestywny. Powiedział niedawno któryś z wybitnych uczonych seksuologów — zachodnio-europejskich: Charakterystyczną cechą naszej epoki jest szalona powściągliwość mężczyzny w manifestowaniu swych prawdziwych uczuć. Miłość, zwłaszcza o-

na, powinna być manifestowana nie tylko czynami ale i słowami. Jest to konieczne jeżeli mamy zamiar zadawać się nadal z kobietami. Otóż to.

W „Kochanku o północy” panowie oglądają siebie takimi jakimi nie znoszą. Obserwujemy więc na ekranie sytuację jakże ograniczoną przez literaturę, teatr i film. Zona zdradza męża, który ją ubóstwia. Jak ten problem wygląda z aspektu kochanka widzieliśmy w „Czerwonym i czarnym” (mówię tu tylko o przeróbce ekranowej), z aspektu obojga kochanków śledzieliśmy go w „Diable wcielonym”. W „Kochanku o północy” na pierwszy plan wybija się natomiast sprawa męża — rogacza. Banal, straszliwy banal! Otóż banalna sztuczka o wybitnie komediowych, a czasami niemal farsowych, akcentach przeradza się tu i ówdzie w drapieżny dramat. A to — dzięki świetnemu ustawieniu roli bohatera. Wiedzieliśmy że Blier to dobry aktor. Znalizmy go z komedii i komedylek, w których jednak nie miał okazji do pełnego wygrania się. W „Kochanku o północy” oko kamery staje się niezwykle wnikliwym i czułym instrumentem. Nie daje temu aktorowi spokoju podpatrując go w

J. PRZYŚCIEKI

TELEWIZJA W „ZDARZENIACH“

Rzecz zaczęła się zwyczajnie. W rozmowie telefonicznej z redakcją „Zdarzeń“ zaproponowano mi: daj coś o telewizji.

Doskonale. Temat interesujący, aktualny. Z przyzwyczajenia jednak zapytałem: w jakiej rubryce „Zdarzeń“ chcecie to zamieścić? I tu powstał problem. W jakiej rubryce, pod jaką winiętą zamieścić informacje o telewizji? W rozważaniach na ten temat zaplątałem się całkowicie. Dlaczego? Sami osądźcie...

SZTUKA

René Clair w swej wypowiedzi o telewizji, publikowanej w 2 n-rze „Anteny“ z 56 r. powiedział tak: uważam że nie można jeszcze mówić o telewizji, jako samostojącej sztuce. Dotychczas telewizja jest tylko aparaturą do przekazywania wartości teatru czy filmu nie mówiąc o aktualnościach...

NAUKA

Znane jest powszechnie stosowanie telewizji do celów badawczo-technicznych. Badania metali, a przede wszystkim odlewów metalowych przy pomocy telewizji prowadzone są przez wiele instytucji naukowych i zakładów przemysłowych nie tylko zagranicą, ale także już i w Polsce.

Ostatnio jednak telewizja po raz pierwszy w historii znalazła zastosowanie w innej dziedzinie. Z francuskiego statku ekspedycyjnego „Calyppo“, na którym ekipa naukowa przeprowadza głębokie badania morza na francuskich wodach terytorialnych, po raz pierwszy były nadane trzy bezpośrednie, podwodne raporty przez francuską telewizję i brytyjską telewizję BBC.

Sluchacze telewizji widzieli bezpośrednio życie głębin morskich. Zastosowanie kamer telewizyjnych pod wodą przyniosło doskonałe rezultaty.

MEDYCYNA

Radzieccy uczeni skonstruowali i udoskonalili aparat, który na ekranie telewizyjnym wyświetla obraz mózgu pacjenta. Jak podaje „Leningradzkaja Prawda“ aparat przypomina kształtem helm i zawiera 50 elektrod. Kładzie się go pacjentowi na głowę i łączy przewodami z ekranem telewizyjnym. Zastosowanie telewizji w tym wypadku pozwala wykryć zmiany patologiczne w mózgu i w przyległych tkankach.

Aparat ten zastosowany już w praktyce w leningradzkim Instytucie Neurochirurgicznym otwiera nowe możliwości w lecznictwie.

WYCHOWANIE

W Nowym Jorku w dzielnicy Manhattan w sektorze Chelsea buduje się blok mieszkalny na 608 mieszkań. W gmachu tym będzie się równocześnie mieściła szkoła. Rodzice mieszkający w tym budynku, będą mogli ze swych mieszkań obserwować dzieci podczas nauki w szkole. Umożliwi to lokalny tele-węzeł (pilot study unit).

Równocześnie prasa amerykańska podała, że z powodu braku dostatecznej ilości nauczycieli z dziedziny nauk przyrodniczych lekcje fizyki i przyrody w niektórych szkołach odbywają się przy pomocy telewizji. Jeden nauczyciel może w ten sposób obsłużyć kilka lub kilkanaście szkół.

OBYDZAJE

Każdy obywatel amerykański spędza przeciętnie 5 i pół godziny na dobę przed ekranem telewizyjnym. Cyfrę tę podaje dr Max Leutenegger, szwajcarski socjolog na podstawie danych Radio-telewizyjnych Instytutów Badawczych. Jest to bardzo interesująca statystyka. Wynika z niej, że trzy czwarte ludności USA wykorzystuje większość wolnego czasu na oglądanie audycji telewizyjnych.

W Czechosłowacji, w miastach i miasteczkach, tam gdzie istnieje duża ilość telewizorów, można wieczorem obserwować w pewnych godzinach wyraźne zmniejszenie ruchu ulicznego. Przyczyną tego zjawiska jest pora nadawania interesujących audycji czechskiej telewizji.

Niektórzy socjologowie przypisują telewizji duże znaczenie dla cementowania życia rodzinnego.

STATYSTYKA

W dniu 31 lipca br. było w Polsce zarejestrowanych 10,959 telewizorów. Z tej liczby 417 zarejestrowano na wsi.

Największa ilość telewizorów przypada na Warszawę i woj. warszawskie — 9,910, potem na Łódź i woj. łódzkie — 765, Katowickie — 499, Poznańskie — 215 W Krakowie zarejestrowanych w tym

czasie było 28 telewizorów w mieście i 9 na wsi.

Do dziś dnia liczba zarejestrowanych telewizorów wzrosła w Polsce do blisko 11 tysięcy. Oczywiście są także jeszcze i nie rejestrowane. Liczba ogólna telewizorów w Polsce wynosi około 23,000. Miesięczny przyrost ich liczby wynosi około 1000.

Dla porównania dane dotyczące Włoch. Dnia 28 lutego br. było we Włoszech zarejestrowanych 502,583 abonentów telewizyjnych. Co miesiąc przybywa ich 50 do 60 tysięcy.

Telewizja włoska rozpoczęła działalność 3 lata temu w styczniu 1954. Program rozbudowy telewizji włoskiej przewidziany na 15 lat został zrealizowany w trzech latach. Dzisiaj 95 procent ludności włoskiej może odbierać audycje telewizyjne. W grudniu ub. r. 90 procent Półwyspu Apenińskiego pokryte zostało siecią telewizyjną. Dzięki temu Włochy znalazły się w czołówce krajów europejskich, korzystających z usług telewizji.

NOWOŚĆ TECHNICZNA

Telewizyjne centrum w Pekinie otrzymało ostatnio do eksploatacji 400 metrową wieżę stacji nadawczej. Wybudowana ona została przez radzieckich inżynierów. Wieża ta jest wyższa od wieży Eifla w Paryżu o 100 metrów. Zbudowano ją z rur stalowych o średnicy 4 m. Na wysokości 195 metrów znajdują się urządzenia nadawcze i galeria mogąca pomieścić sto osób. Na wysokości 300 metrów umieszczono transformatory.

W Bytkowie pod Katowicami dobiegają końca prace montażowe przy budowie maszyni słaskiej stacji telewizyjnej. Konstrukcję stalową maszyni wykonały Stocznie Rzeczne w Poznaniu. Montuje ją zakłady „Mostostal“. Maszyni będzie miał 200 metrów wysokości. Dzięki niemu program słaskiej telewizji będzie odbierany w promieniu 100 kilometrów, a więc i w Krakowie.

OWIENKO PROBLEMY WYKONAWCZE

Według ostatnich zapowiedzi ślaski ośrodek telewizyjny w Katowicach i wrocławski ośrodek we Wrocławiu mają być uruchomione już w grudniu br.

W związku z tym, jakaż może być najaktualniejsza sprawa? Chyba telewizyjnych speakerów. Tak, speakerów. Na całym świecie stałymi speakerami telewizyjnymi są przede wszystkim kobiety.

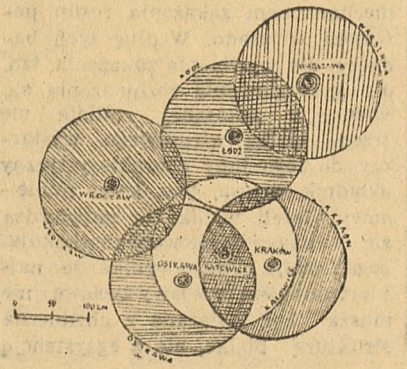
Poznajcie miłe Panie! To nie jest taka prosta sprawa. Nawet w Warszawie nie jest ona ostatecznie rozwiązana, mimo że w roku ubiegłym Telewizja wraz z Ekspressem Wieczornym ogłosiła konkurs na najładniejszą warszawiankę i tele-speakerkę. Na 700 kobiet po wstępnych eliminacjach przed kamerą telewizyjną — zakwalifikowało się 21, a do finału doszły zaledwie 3 panie. Konkurs właściwie nie przyniósł w rezultacie speakerki telewizyjnej.

A więc zastanawiamy się już dzisiaj. Dla ułatwienia wyboru i porównania tele-optycznych kwalifikacji podajemy obojętnie zdjęta najpopularniejszych speakerów telewizji w Europie. Są one jak najautentyczniejsze i aktualne.

Miałem napisać coś o telewizji. W dysertacjach z redakcją „Zdarzeń“ o rubrykach tego miłego pisma, byłem coraz więcej nie zdecydowany. Właściwie pozostaje jeszcze jedna wolna rubryka „Historie“. Można by w niej pomówić o perspektywach telewizji w Polsce i w Krakowie. Ale to już historia sama dla siebie.

Na podstawie zeszytów „Anteny“ Biulet. Telew. i „Radio Times“.

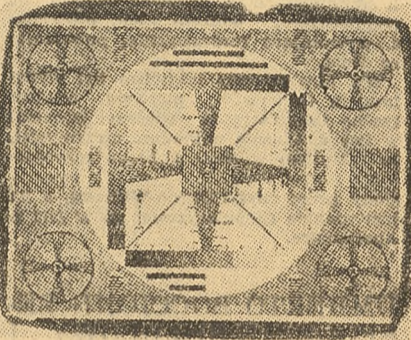
OPR. M. KIETA



Telewizja Moskwa — Nina Kondratowa



Telewizja Mediolan — Marisa Borroni



Telewizja Warszawa — zamiast speakerki obraz kontrolny warszawskiego studia telewizyjnego



Telewizja BBC Londyn — Sylwia Peters



Telewizja Berlin — Helga Hesse



Telewizja Bruksela — Janine Lambotte

Już w grudniu w Krakowie będzie można odbierać katowicką telewizję. Na załączonym wykresie według ślaskiej „Panoramy“ można się zorientować w rozwoju i zasięgu polskich ośrodków telewizyjnych oraz w perspektywach wymiany programu z Berlinem i Pragą. A więc kupujcie telewizory!



WILLIAM FAULKNER

Bohaterem tego wyjątku z powieści Williama Faulknera „Sartoris“ jest Murzyn Simon, stangret Bayarda, głowy rodu Sartorisów. Stary, mocno głuchawy Bayard Sartoris, właściciel banku w Jefferson mieszka wraz z siostrą, miss Jenny i wnukiem Bayardem w swojej posiadłości wiejskiej. Po powrocie z wojny (chodzi o pierwszą wojnę światową) młody Bayard kupuje samochód i wozi nim co dzień dziadka do miasta, przez co konie Simona stoją bezczynnie w stajni. Sytuacja ulega zmianie po wypadku samochodowym młodego Bayarda.

NOWELA

Simon miał swoje własne kłopoty, z którymi postanowił zwierzyć się staremu Bayardowi. Młody Bayard leżał w łóżku z polamanymi żebrami; miss Jenny pielegnowała go z zapamiętanyim oddaniem a Narcissa przychodziła czytać mu na głos; Simon powrócił więc do swych praw. Cylinder i prochowiec przestały wisieć bezczynnie na kołku a dobrana para utuczonych koni wyładowywała nagromadzone zapasy energii między domem a bankiem, przed którym Simon z cygarem w zębach zatrzymywał je jak dawniej z teatralną pompą.

„Atomobil“ — filozofował Simon — jest dobry dla rozrywki i przyjemności, ale gdy chodzi o prawdziwie pański fason to nie ma jak konie.

Tak więc Simonowi nadarzyła się dobra sposobność. Kiełw tylko wyjechał poza miasto i konie wyrównały kłus, zaczął:

— Tak wysłada, że zrobimy razem mły interes — odezwał się.

— Co? — krzyknął Bayard wyrwany nagle z zamśnienia.

KŁOPOTY SIMONA

— Mówię, że będzie pan potrzebował trochę gotówki.

— Jestem ci mocno zobowiązany — odparł stary Bayard — ale nie potrzebuję w tej chwili pieniędzy. Niemniej bardzo ci dziękuję.

Simon roześmiał się serdecznie. — Słowo daję, panie pułkowniku, dobry dowcip! Taki bogaty pan żeby potrzebował pieniędzy! — znowu roześmiał się gładko i przesadnie. Nie ma co, proszę pana, dobry dowcip!

Potem przestał się śmiać na chwilę i zajął się pilnie kofmi. Były to bliźniaki Roosevelt i Taft, miały lśniącą, gładką sierść i szerokie okrągłe zady.

— Ty tam, Taft, ciągnijno trochę! Docekniesz się kiedyś, że cię to leniwość zabije, zobaczysz!

Stary Bayard patrzył na małą głowę i zawiadkało na bakier osadzony cylinder Simona. Murzyn znowu zwrócił ku niemu przez ramie swoją pomarszczoną, twarz. — Ale nie ma co, będziemy musieli jakoś tych Murzynów uspokoić.

— Cóż tam znowu zrobili?

— Bo to jest tak, proszę pana — wyjaśniał Simon — To było w ten sposób. Oni zbrali pieniądze na ten kościół co im się spalił i jak już zebrałi to oddali te pieniądze mnie, niby, z powodu mojego stanowiska w radzie kościelnej i że niby należe do najlepszej rodziny w okolicy.

To było jakoś koło Bożego Narodzenia zeszłego roku. A teraz chcą te pieniądze z powrotem.

— To dziwne — powiedział stary Bayard. — Właśnie — zgodził się skwapliwie Simon — Tak i mnie się to właśnie wydawało.

— No to skoro należą, sadzę, że lepiej zrobisz, jeżeli im oddasz pieniądze.

— O to właśnie chodzi. — obrócił znowu głowę Simon. Jego głos brzmiał teraz poufnie, a swoją rewerencją wygłosił przyciszonym, melodramatycznym tonem: — Pieniedzy nie ma.

— Do diabła, wiedziałem z góry! — zawołał już bez śladu żartobliwości Bayard. — Gdzież się podziały?

— Poszedłem i umieściłem je gdzieś indziej. — wyjaśnił Simon wciąż tym samym poufnym tonem, dźwięczącym teraz lekkim zdziwieniem nad głupota świata — A teraz ci Murzyni, oni mnie oskarżają, że im ukradłem te pieniądze.

— Jaki, więc wziąłś i pożyczyleś komu innemu powierzone ci pieniądze?

— Pan to robi codziennie. — odparł Simon. — Czy nie żyje pan z pożyczania pieniędzy?

Stary Bayard warknął: — Odbierzesz je i oddasz tym Murzynom, inaczej cię zamkna, zrozumiano?

— Pan akurat tak mówi jak te

bezcenne miejskie Murzyny — powiedział z urazą Simon. — Te pieniądze zostały umieszczone gdzieś indziej — przypominał swemu panu.

— Odbierz je. Przecież chyba dostałś jakiś zastaw.

— Ze dostałem co?

— Zastaw, jakąś równowartość pożyczki, którą zatrzymujesz u siebie dopóki pieniądze nie zostaną oddane.

— Tak jest, proszę pana, dostałem — roześmiał się znow Simon chichotem satyra, zabarwionym przyjemną aluzją. — Dostałem proszę pana, a jakże, tylko nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby się to nazywało zastawem nigdy w życiu.

— Dajesz te pieniądze jakieś czarnej dziewczce? — zawołał stary Bayard.

— Bo to proszę pana było tak — zaczął Simon, ale pułkownik przerwał mu.

— Do licha ciężkiego, a teraz czekasz, żeby ja to zapłacił! Ile tego było?

— Nie pamiętam tak akuratanie. Te Murzyny mówią, że było siedemdziesiąt czy dziewięćdziesiąt dolarów z czymś tam. Ale niech im pan nie daje wszystkiego, niech im pan da tyle ile pan uważa, oni się zgodzą.

— Niech mnie diabeł weźmą, jeżeli dam! Mogą ci te pieniądze wytrząść z twoego przekłętęgo tyłka albo cię wsadzić do kryminału, ale niech mnie diabeł weźmą jeśli dam złamanego centa.

— Ale panie pułkowniku — powiedział Simon — nie da pan chyba tym miejskim Murzynom zaszkodzić kogoś z rodziny o kradzież!

— Jazda! — krzyknął stary Bayard. Simon obrócił się i klasnął językiem na konie. Z cygarem w zębach, z rozstawionymi łokciami, z biczem trzymany zgrabnie w jednej ręce patrzył z wysokości koźła z tolerancyjną pogardą na Murzynów pracujących na polach bawełny wzdłuż drogi.

Było słoneczne niedzielne popołudnie. Miss Jenny i stary Bayard siedzieli na słonecznej werandzie, gdy od podwórza zbliżyła się delegacja prowadzona przez Simona.

Składała się z sześciu Murzynów w niedzielnych ubraniach. Na czele jej stał olbrzym o byczym karku, władczych oczach i bombastycznym wyglądem, ubrany w okrągły biały kołnierzyk duchownego i czarny surdut.

— To oni, panie pułkowniku — powiedział Simon i nie zatrzymując się wszedł po schodach i zaczął się krzątać po werandzie nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do tego, do której grupy czuł się przynależny. Delegacja zatrzymała się uroczyście i godna.

— O co chodzi? — zapytała miss Jenny — To ty, wuju Bird?

— Tak proszę pani, miss Jenny — jeden z członków delegacji odkrył wewnątrz szpakowaty łeb i uklonił się. — Jak się pani czuje?

Reszta Murzynów zaczęła szurać nogami i po kolei zdejmować kapelusze. Przywódca trzymał swój przed sobą na piersi, jak członek kongresu przed aparatem fotograficznym.

— Hej tam, Simon — zapytał stary Bayard — O co chodzi? Dlaczego przyprowadziłeś tu tych Murzynów?

— Oni przyszli po swoje pieniądze — wyjaśnił Simon.

— Co?

— Pieniądze? — powtórzyła zainteresowana miss Jenny — Jakie pieniądze, Simon?

— Oni przyszli po te pieniądze co

(Dokończenie na str. 8)

KŁOPOTY SIMONA

(Dokończenie ze str. 7)

im pan obiecał. — powtórzył głownie Simon.

— Powiedziałem ci że nic nie dam. — rzekł stary Bayard — Czy Simon obiecywał wam, że zapłaci? — zapytał delegację.

— Jakże pieniądze? — powtórzyła miss Jenny — O czym ty mówisz, Simon?

Przywódca delegacji otworzył usta aby coś powiedzieć, ale Simon go uprzedził.

— Jakże, panie pułkowniku, sam mi pan powiedział, że bym powiedział tym Murzynom, że im pan zapłaci.

— Nie powiedziałem nic podobnego — rzekł gwałtownie stary Bayard.

— Powiedziałem, że jeżeli chcą cię wsadzić do kryminału to mogą to zrobić. Tyle ci powiedziałem.

— Jaktó, panie pułkowniku. Najwyraźniej pan powiedział, pewnie tylko pan zapomniał. Miss Jenny może przysiąc, że mi pan...

— Nic nie mogę przysiąc — przerwała miss Jenny — Pierwszy raz o tym słyszę. O czyje pieniądze chodził, Simon?

Simon popatrzył na starą panią z żalem i urazą.

— Powiedział mi, że bym im powiedział, że zapłaci.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli powiedział — krzyknął stary Bayard — Powiedziałem ci, że nie zapłacę złamanego centa. Powiedziałem ci też, że jeśli będą mnie o to nachodzić każę cię obedrzeć żywcem ze skóry.

— Oni pana nie będą nachodzić — uspokajał Simon — Ja to właśnie chcę załatwić. Pan im tylko da pieniądze, a ja to z panem później ureguluję.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli dam. Żeby tu jakiś śmierzący, leniwy Murzyn, nie wart nawet tego co zezre...

— Ale przecież ktoś im musi zapłacić — tłumaczył cierpliwie Simon — Dobrze mówię, prawda miss Jenny?

— Dobrze mówisz — przyznała miss Jenny — Ale ja tym kimś nie będę.

— Dobrze proszę pana. Niech będzie, że nikt im nie zapłaci. Ale jak ktoś ich nie uspokoi to wsadzą mnie do kryminału. I co wtedy zrobić, jak nie będzie komu karmić i czyścić koni, sprzątać i podawać do stołu? Mnie nie zależy, ja mogę iść do więzienia, nawet jeżeli te kamienne posiadki zaszkodzą mi na zdrowie. — odmalował szeroki i wzruszający obraz swoich szczytnych zasad, świętej cierpliwości i wyrzeczenia. Stary Bayard tupnął nogą.

— Ile tam tego jest?

Przywódca nadął się w swym surducie.

— Ile tego jest, wielebny? — zapytał niecierpliwie Bayard.

— Brat Moore odczyta obecnie kwotę — zaintonował pastor.

Brat Moore zapatrzony jak w transie w kartki wymamrotał coś praktycznie niesłyszalnym głosem.

— Ile? — powtórzył stary Bayard nadstawiając rękę ucha.

— Każ mu głośniejsze mówić — powiedział Simon — Nie nie można zrozumieć z tego mamrotania.

— Głośniejsze — huknął pastor z lekkim zniecierpliwieniem.

— Szesćdziesiąt siedem dolarów i czterdzieści centów — odczytał wreszcie brat Moore. Stary Bayard opadł na fotel i kłął całą długą minutę. Simon obserwował go z ukrywaniem niepokojem. Wreszcie pułkownik wstał i wciąż klnąc wyszedł do pokoju. Simon odetchnął z ulgą. Delegacja znów się poruszyła, a brat Moore skwapliwie zniknął za plecami towarzyszy. Pastor jednak zachował dotychczasową postawę pełną fatalistycznej i głębokiej powagi.

— Co się stało z tymi pieniędzmi, Simon? — zapytała ciekawie miss Jenny — Miałaś je rzeczywiście, prawda?

— Tak oni twierdzą — odpowiedział Simon.

— I co z nimi zrobiłeś?

— Wszystko jest w porządku — zapewnił staruszkę Simon — Po prostu umieściłem je gdzieś indziej, że tak powiem.

ABC

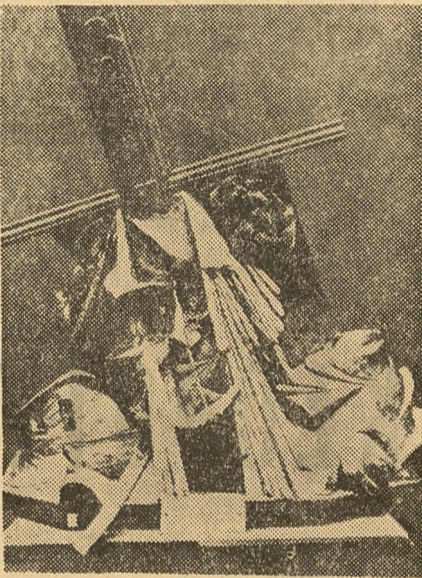
SZTUKI NOWOCZESNEJ

Adam Kotula
Piotr Krakowski

20)

TAKTYLIZM

Taktylizm — wł. tattilismo, fr. l'art tactile, „sztuka dotykowa” — zrodził się z dążenia artystów do wzbogacenia doznań estetycznych odbiorcy sztuki o doznania jakich dostarcza zmysł dotyku. Uprawiany był w rzeźbie i polegał na stosowaniu najrozmaitszych materiałów mających wywołać u odbiorcy odpowiednie stany emocjonalne. Marinetti dzielił



wrażenia dotykowe na cztery kategorie: 1. abstrakcyjne; 2. przekonujące; 3. podniecające, budzące lęk, nostalgia; 4. wywołujące rozdrażnienie, pobudzające wole.

Wg. Marinetti'ego taktylizm był wynalazkiem futurystów, pierwszą bowiem rzeźbę taktylistyczną stworzył Boccioni w 1912 r. Picabia natomiast utrzymywał, że taktylizm wyszedł z kręgu nowojorskiej grupy dadaistów i został wynaleziony przez miss Clifford-Williams, a na kontynencie spopularyzował go w 1918 r. Apollinaire.

UMBERTO BOCCIONI: ZESPOLENIE SIĘ GŁOWY I OKNA (POLIMATERICO - DRZEWO, SZKŁO, ŻELAZO, PORCELANA, PUKŁE WŁOSÓW LUDZKICH) 1911

— Nie wątpię w to — odpowiedziała sucho. — Nie mam żadnych wątpliwości, że nie zagraża ci ręka. Zaskoczyli na to żeby stracić te pieniądze już za to samo, że sobie je powierzyli. Komu je dałeś?

— O, myśmy to już uzgodnili dawno z panem pułkownikiem — odpowiedział gładko Simon. W halu rozległy się znów kroki Bayarda, który pojawił się za chwilę na werandzie z czekiem w ręku.

— Blżej — zakomenderował. Pastor podszedł do balustrady, wziął czek i złożywszy go umieścił w kieszeni.

— A jeżeli będziecie na tyle głupi, żeby znów mu powierzyć jakieś pieniądze, żebyście już do mnie nie przychodzili, zrozumiano?

Przez chwilę mierzył delegację surowym wzrokiem, potem obrócił oczy na Simona:

— A ty pamiętaj, że następnym razem jak ukradniesz coś i przyjdiesz że bym za ciebie zapłacił, sam osobiście każę cię aresztować i postawić przed sądem. Wyprowadź stąd tych Murzynów.

Delegacja zaczęła już zgodnie ruszać z miejsca ale pastor zatrzymał ich rozkazującym ruchem ręki i zwrócił się do Simona:

— Diakonie Struther — powiedział — Jako kapłan Pierwszego Kościoła Baptystów i przyszły kapłan Drugiego Kościoła Baptystów, jako też przewodniczący Komitetu, przywracam ci niniejszym do dawnej godności diakona wyżej wymienionego Przyszłego Drugiego Kościoła Baptystów, Amen. Uszanowanie panie pułkowniku i pani.

Odwrócił się i wyprowadził ze sceny swój komitet.

— Dzięki Bogu spadł nam kłopot z głowy — powiedział Simon i usiadł na najwyższym stopniu schodów postępując z zadowoleniem.

— Zapamiętaj ty sobie dobrze co powiedziałem — ostrzegął go Bayard — Następnym razem...

Ale Simon nie słuchał.

— Cóż to znów? — powiedział — Jak pan myśli, czego oni jeszcze mogą chcieć?

Komitet bowiem powrócił i zagłądał teraz niepewnie zza rogu domu.

— No, co tam jeszcze? — huknął Bayard. Murzyni usiłowali wysunąć znów brata Moore do przodu, ale tym razem się nie dał. Wreszcie odezwał się pastor:

— Zapomnieliście czterdzieści centów, biali ludzie.

— Co?

— On mówi, że nie dał im pan czterdziestu centów ekstra — krzyknął głośniejsze Simon. Bayard wybuchnął. Miss Jenny zatkała uszy rękami, a komitet przewracał oczami w przerażonym podziwieniu słuchając wznoszącego się na niedosiężne szczyty elokwencji pułkownika. W końcu zwrócił się do Simona:

— Oddaj im tych czterdzieści centów i wyrzuć ich stąd — zagroził — A jeżeli przyjdą tu jeszcze raz, przegonię szpicrutą całą tę zgraję razem z tobą!

— Boże, panie pułkowniku, ja nie mam żadnych czterdziestu centów, pan przecież wie. Czy oni nie mogą się obejść bez nich, jeżeli już dostali dolary?

— Owszem, masz, Simon — odezwała się miss Jenny — Zostało ci pół dolara reszty z tych butów, które dla ciebie wczoraj zamówiłam. — Simon znów popatrzył na nią z żalem i urazą.

— Oddaj — rozkazał stary Bayard. Simon powoli sięgnął do kieszeni, wyjął półdolarówkę i powoli obracał ją w palcach.

— Mogą mi się przydać te pieniądze proszę pana — protestował — myślę, że mogliby mi je darować.

— Oddaj im te pieniądze! — spiorunował go stary Bayard — Zapłacisz przynajmniej tych czterdzieści centów! — Simon wstał z ociąganiem. Pastor podszedł do niego.

— A moje dziesięć centów reszty? — upominał się Simon i nie dał monety dopóki nie dostał do ręki dwu nikłówek. Komitet oddalił się.

— Teraz chcę wiedzieć co zrobił z tymi pieniędzmi — powiedział Bayard.

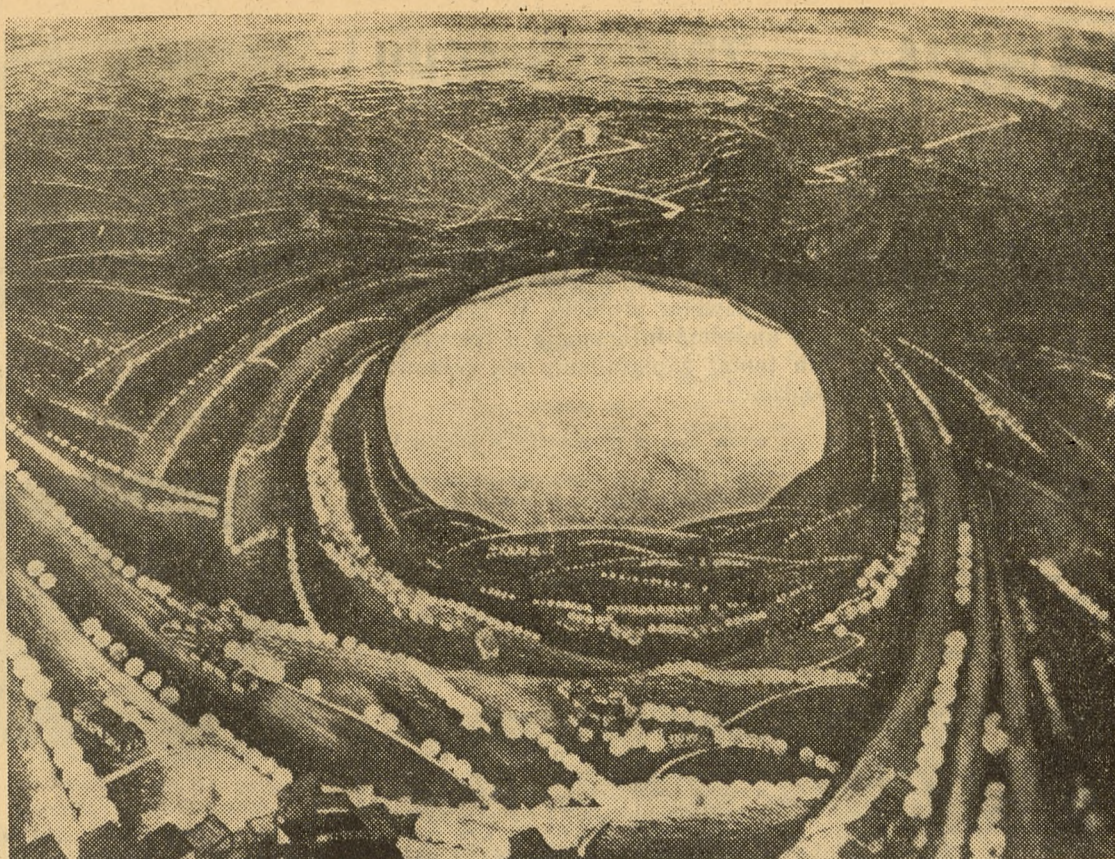
— Bo proszę pana to było tak — zaczął skwapliwie Simon. — Ja te pieniądze umieściłem gdzieś indziej.

Miss Jenny wstała.

— Mój Boże, będziecie jeszcze raz to walcować? — I odeszła do swego pokoju. Siedząc w słońcu przy oknie słyszała ich wciąż jeszcze: burzliwe wybuchy starego Bayarda przepłatały się z gładkimi wykrętami Simona, wznosząc się i opadając w sennym niedzielnym powietrzu.

tłum. i oprac.

J. PIĄTKOWSKI



GERARDO DOTTORI: UMBRYJSKA WIOSNA (1923)

AEROPIKTURA

Aeropiktura — wł. aeropittura, malarstwo z lotu ptaka — wiązała się ściśle z rozwojem lotnictwa, które pobudziło wyobraźnię entuzjastów szybkości i nowoczesnej techniki. 22 września 1929 r. grupa włoskich futurystów ogłosiła „Manifest aeropiktury”, pisząc m. in.: „My, futuryści, oświadczamy: 1. zmienna perspektywa z lotu ptaka jest absolutnie nową rzeczywistością, która nie ma nic wspólnego z tradycyjną rzeczywistością budowaną według perspektywy ziemskiej; 2. elementy tej nowej rzeczywistości nie mają żadnego stałego punktu i są konstruowane w nieustannym ruchu; 3. malarz może je obserwować i malować jedynie uczestnicząc w ich własnym pedzie; 4. malowanie tej nowej rzeczywistości oglądanej z wysoka wymaga cał-

kowitej pogardy dla szczegółu oraz przekształcenia i syntetyzowania wszystkiego; 5. wszystkie części pejzażu wydają się lecaćemu malarzowi: a. rozpiaszczone; b. sztuczne; c. prowizoryczne; d. świeżo spadłe z nieba; 6. wszystkie części pejzażu podkreślają w oczach lecacego malarza swój charakter: zwarty, rozpostarty, wytworny, wzniosły; 7. każda aeropiktura zawiera w sobie dwojaki, równoczesny ruch — samolotu i ręki malarza, która porusza kredką, pędzlem lub szpachlą; 8. obraz lub całość plastyczna aeropiktury musi być policentryczna”.

W lutym 1931 r. otwarto w Rzymie pierwszą wystawę aeropiktury. W roku następnym, w wystawie zorganizowanej w paryskiej Galerie de la Renaissance wzięło udział już około czterdziestu malarzy związanych z tym kierunkiem. Do najwybitniejszych jego przedstawicieli należą Gerardo Dottori i Filia.

MOSKIEWSKIE SYMPOZJUM

(Dokończenie ze str. 5)

dziczności itd. Zasadniczym wnioskiem dającym się wyciągnąć z Sympozjum było stwierdzenie faktu, że teoria Oparina znajduje dziś już w pełni realną podbudowę, że jest jedynym naukowym sposobem wytlumaczenia powstania życia na ziemi i że jej odrzucenie byłoby cofnięciem współczesnej biologii do poziomu średniowiecznej teologicznej nauki o życiu. Wielu uczonych, którzy niezbyt chętnie zgodziliby się na to, aby ich nazwać materialistami, w zakresie tego podstawowego, biologicznego zagadnienia okazało się entuzjastycznymi zwolennikami rdzennie materialistycznych poglądów.

Oczywiście, wiele szczegółowych zagadnień wiążących się z podstawowym ogólnym problemem pozostaje wciąż jeszcze terenem różnorodnych, sprzecznych ze sobą poglądów. Pierwotne koncepcje Oparina niewątpliwie ulegną w szczególach licznym modyfikacjom, czego dowodem były niektóre momenty obrad. Panującym wciąż jeszcze obecnie dogmatem w biologii i w biochemii jest założenie, iż najpierwotniejszym tworzywem żywej materii są białka. Toteż niemało zamieszania w przebiegu Sympozjum sprawiło wystąpienie dwóch młodych jeszcze badaczy, pracujących niezależnie od siebie — H. Fraenkel-Conrata ze Stanów Zjednoczonych i G. Schramma z Niemiec zachodnich, którzy referowali wyniki swych badań doświadczalnych nad mechanizmem zakażenia roślin pewnymi wirusami. Według tych badaczy, dla wywołania zakażenia, tzn. dla spowodowania rozmnażania się wirusa w zakażonej roślinie nie trzeba białka wirusowego, wystarczy do tego inny charakterystyczny składnik wirusa, tzw. kwas nukleinowy. Jeżeli wyniki te potwierdzą się, to nauka stanie wobec zaskakującego faktu, z którego wynika, że najpierwotniejsze przejawy życiowe nie muszą być związane z chemiczną strukturą białka, ale z egzystencją

kwasów nukleinowych. Na temat konsekwencji takiego punktu widzenia dla biologii dzisiejszej trudno rozwinąć się na tym miejscu.

Mając zaszczyt brać udział w Sympozjum jako gość Akademii Nauk Związku Radzieckiego, mogłem nie tylko śledzić niezmiernie ciekawe formułowanie problemów przez głównych uczestników konferencji i dyskutować z nimi ich oryginalne, czasem diametralnie przeciwstawne sobie zapatrywania, ale mogłem podziwiać również świetną organizację Sympozjum. Ugrupowanie tematów wiążących się ze sobą w poszczególnych posiedzeniach, żelazna dyscyplina stosowana w zakresie czasu przeznaczonym na przemówienia i dyskusje, znakomicie pracujący sztab tłumaczy przekładających drogą radiofonii treść obrad — mogą być wzorem dla wszystkich tego rodzaju imprez naukowych w świecie. Odbrymnia większość referatów była udostępniona uczestnikom już przed rozpoczęciem Sympozjum w postaci książkowej lub jako powielane skrypty. O gościnności gospodarzy mówić nie trzeba, bo znana jest każdemu naukowcowi, który odwiedził Związek Radziecki. Łącząc pożyteczne z przyjemnym udostępniono uczestnikom nie tylko wszelkie godne widzenia obiekty w Moskwie, ale zorganizowano dwudniową, nader ciekawą wycieczkę do Leningradu.

Będąc już nie pierwszy raz w Związku Radzieckim mogłem zaobserwować narastającą tam prężność nauk przyrodniczych. Znikł całkowicie tak pospolity jeszcze przed kilku laty werbalizm i doktrynerstwo. Dyskusje z kolegami radzieckimi przebiegały na płaszczyźnie wzajemnego szacunku dla reprezentowanych poglądów i najdalej idącej chęci obopólnego zrozumienia. Dla niejednego z gości amerykańskich było to niemal rewelacją. Rozstawił się z gospodarzami radzieckimi tak, jak mogą się tylko rozstawić ludzie mający jeden wspólny cel, łamiący wszystkie bariery — poznanie prawdy naukowej. Sympozjum moskiewskie, skromnie w swych wymiarach, miało dla wszystkich uczestników o wiele większą wartość, niż gigantyczne kongresy międzynarodowe, nie tylko z punktu widzenia merytorycznej treści dyskutowanego zagadnienia, ale i z punktu widzenia ogólnoludzkiego,

NASZE ROZMOWY Zabawy dzieci

INŻ. K. JAKUBOWSKI, Kraków. Spieszmy wyjaśnić, że red. Anna Stronka przebywa na urlopie i stąd brak jej reporiaży. Jeśli chodzi o felieton B. Drozdowskiego, to istotnie w jednym z numerów nie pojawił się z podobnej przyczyny: wyjazdu na krótki odpoczynek. Ano, dziennikarze także ludzie a pisanie wyczerpuje. Prosimy więc o cierpliwość.

ZDZISŁAW OLEJNIK, Oleśnica, Dolny Śląsk, Moniuszki 87. Cytujemy charakterystyczny ustęp Pańskiego listu:

„Mieszkam w mieście powiatowym Oleśnicy na Dolnym Śląsku. Będąc we Wrocławiu kupiłem z ciekawości „Zdarzenia” i bardzo mi się podobały. Obecnie walczę o zdobycie waszego poczytnego tygodnika. Do nas do „Ruchu” przychodzi 3 sztuki. Już od soboty od rana czasem do wtorku poluje na „Zdarzenia”, bo do tego przychodzi nieregularnie i czasem udaje mi się je dostać. Szkoda, że nie można zaprenumerować u listonosza”.

Niestety walczymy z tymi trudnościami. Mamy z całej Polski podobne odgłosy ale niewiele możemy pomóc. Możemy tylko pana pocieszyć, że już wkrótce będzie można prenumerować „Zdarzenia”. Poprzednie numery prosimy zamówić w „Ruchu” Warszawa, ul. Srebrna Dział sprzedaży antykwarycznej.

JÓZEF WYDRA, Rzeszów, Dąbrowskiego 56 blok 17 m 1. Jak to już wyjaśnialiśmy, przytaczająca większość nadesłanych haseł na Konkurs Lajkonika była stereotypowa, niepropagandowa. Zadaliliśmy sobie trud obliczając, że niektóre hasła powtarzały się kilkaset razy w tym samym brzmieniu. Większość czytelników popełniła ten sam błąd, idąc na lawinę. Innym błędem było takie ujmowanie haseł, które nie pokrywało się z prawdą. Nie jest np. prawdą, że kto gra w „Lajkonika” musi wygrać milionik. Jury konkursu musiło nagrodzić takie hasła, które niewiele obiecywały, a mądrze zachęcały. Dyrekcja „Lajkonika” wybrała jeszcze pewną liczbę znośnych haseł i zakupiła je. Jest rzeczą wątpliwą, czy czytelnicy zgodziliby się na wypowiedzianie swych zdań w drodze plebiscytu na temat wartości innych haseł. „Zdarzenia” ogłaszają coraz nowe konkursy i nie należy się zrażać niepowodzeniem.

WALDEMAR WIECZOREK, Sosnowiec, Naftowa 15/6. Prosimy przeczytać odpowiedź drukowaną powyżej w związku z listem p. Olejnika. Wyjaśnienia te dotyczą również pańskich zapytań.

ANTONI SIDUT, Kraków ul. Manifestu Lipcowego 20/10. Termin nadsyłania odpowiedzi na Konkurs minął 24 VIII, o czym zawiadamialiśmy Czytelników. Pański list nosi natomiast datę 29 VIII br., a otrzymaliśmy go 31 VIII. Nie mogli więc Pan wziąć udziału w Konkursie.

JAN DARASZKIEWICZ, wieś Krzykały pow. Braniewo. Niestety nie posiadamy na składzie starych numerów „Zdarzeń”. Prosimy spróbować napisać do Warszawy na adres: „Ruch” Warszawa, ul. Srebrna Dział sprzedaży antykwarycznej. Zdarzenia będzie można już wkrótce zaprenumerować przez Poczte.

REPRODUKUJEMY JEDNE Z PIERWSZYCH ZDJĘĆ NADESŁANE NA NASZ KONKURS. SĄ TO ZDJĘCIA Z KOLONII DZIECIĘCEJ. NADESŁAŁA JE OB. KAZIMIERA MAJERA, KRAKÓW.

NAJORYGINALNIEJSZE ZDJĘCIA BĘDZIEMY REPRODUKOWALI W ZDARZENIACH. JUŻ MOŻEMY POWIADOMIĆ CZYTELNIKÓW, ŻE WSRÓD NAGRÓD ZNAJDĄ SIĘ ATRAKCYJNE ZABAWKI DLA DZIECI TWÓRCÓW ZDJĘĆ.



Zdarzenia sprzed 50 laty

AUTOMOBIL W USŁUGACH STRAZY POZARNEJ

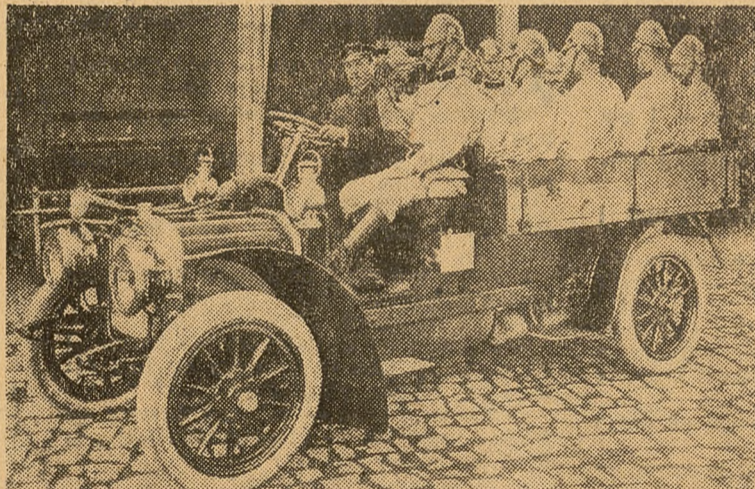
Straż pożarna krakowska ma od bardzo wielu lat opinię znakomicie zorganizowanej wedle najnowszych wymogów techniki pożarnictwa, prawdziwie po europejsku.

Swiełym dowodem tej postępowości pożarnej straży krakowskiej i troskliwości jej zarządu o wprowadzenie najnowszych urządzeń, są próby z samochodem w zastępowaniu (do potrzeb straży). W tym celu sprządzono z Wiednia samochód o sile 16 koni, na którym zamiat zwyczajnego powozowego urządzenia jest wygodne, obszerne siedzenie, mogące pomieścić 9 członków straży, prócz maszynisty.

Pierwsze próby, jakie z nowym samochodem czyni straż krakowska pod kierunkiem naczelnika p. Nowotnego, odbywają się przy współudziale sprządzanego z Wiednia szoffera. Równocześnie dwaj strażnicy obznajamiają się z mechanizmem samochodu i ze sposobem jego prowadzenia, aby następnie objąć rolę szoffera.

O te próby wydadzą rezultat dodatni, gmina miasta Krakowa zakupi taki samochód i odda go na usługi swej straży pożarnej.

(Nowości Ilustrowane, 5 października 1907, Nr 40 Kraków).



Na tym polegała wielka tajemnica Tomka: wrócić do domu wraz z piracką bractwem i być na własnym pogrzebie. W sobotę o zmroku chłopcy przepłynęli na pniu drzewa na drugi brzeg Missouri, wylądowali pięć czy sześć mil poniżej St. Petersburg i przemocowali w lesie podmiejskim, a w niedzielę o świcie przekradli się zaułkami i uliczkami do kościoła, gdzie zdrzemnęli się jeszcze na galerii, wśród stosu połamanych ławek. W poniedziałek rano przy śniadaniu ciocia Polcia i Mary zasypywały Tomka czułością i dogadzały mu. Jak mogły. Mówiło się przy tym niezmiernie dużo. Między innymi ciocia powiedziała tak: — Widzisz, Tomku, może to dobry był żart, że tutaj wszyscy przez tydzień bez mała się zamartwiali, a wyście tam wesoło się bawili. Ale smutne jest to, że mogłeś być tak okrutny i tyle czasu zniecales się nade mną, twoją ciotką. Jeśli mogłeś przepłynąć na pniu, aby wziąć udział we własnym pogrzebie, to mogłeś przedtem tu się zjawić i dać mi znak, żeś nie umarł, tylko uciekł.

CZEŚĆ II-ga „ZDARZENIA” I „D O M U KSIĄZKI”
KONKURSU



Zatrzymał się na chwilę nad samym brzegiem i, patrząc w głąb wody, zamierzył się obręczą, którą trzymał w ręku. Dawna cała siła weszła w jego muskularne ramiona i obręcz zrobiła w powietrzu piękny łuk, zanim padła na środek rzeki. Woda plusnęła raz tylko i wiry szybko zataryły koncentryczne falegi. Korona Szczędrego spoczęła na dnio. Wistly.

Czy leży tam do dziś dnia? Czy pokryła ją muł i wodorosty, czy zagłębia się coraz bardziej w serce naszej ziemi? Czy też może sieci rybactwa wydobły ją na wierzch — i dziś jeszcze bawia się nią w jakiej nadbrzeżnej wiosce dzieci, które mają oczy chłodne, marzące, zamknięte, podobne do oczu Henryka Sandomierskiego?



Sylwetki artystek

NA ŻYCZENIE CZYTELNIKÓW

NICOLE MAUREY

urodziła się 29 grudnia 1926 roku w Bois Colombes. Szkołę tańca artystycznego i szkołę teatralną ukończyła w Paryżu. W roku 1943 debiutowała w filmie pt. „Blondine”, występując następnie w „Le Cavalier Noir” i „Pamelle”. Po zakończeniu wojny kontynuowała studia w Wyższej Szkole Aktorskiej, po czym wystąpiła w „Si Versailles n'etatit conte” — „Le Journal d'un Cure de Campagne” i znanych w Polsce filmach „Wróg publiczny nr 1” oraz „Poznane nocą”. Triumfem artystki była rola w filmie produkcyjnym amerykańskiej „Little Boy Lost” gdzie wystąpiła z Bing Crosby. W Hollywood nakręca obecnie film pt. „The Secret of the Incas”. W nadchodzącym sezonie filmowym zobaczymy ją w filmie angielskim „Wierny mąż”.



CHYBA ŻE... BOHATEROWIE SA ZMĘCZENI

Mamy więc naszych własnych bohaterów, którzy wprawdzie bez filmu — ale w całym kalejdoskopie zdjęć fotograficznych ukazują społeczeństwu zgrabnie i sławnie sylwetki. Polscy lekkoatleci zdystansowali rodzime gwiazdy filmowe, co zresztą nie przyszło im zbyt trudno. Film Polski, jak wiadomo — jest przeciętny, lekkoatleci zaś robią szum w kraju i za granicą.

A, że jesteśmy narodem entuzjastów, zatem upajamy się wreszcie schlebającym nam zainteresowaniem świata sportowego.

Jednakże ostatnie zwycięstwo lekkoatletyczne w spotkaniu z Anglią — nie należało do łatwych. Pomimo własnego terenu. Był taki moment podczas zawodów, gdy różnica punktowa dawała nam minimalną przewagę nad przeciwnikiem. Wygraliśmy w efekcie, a na czołowych miejscach gazet, sportowych i nie sportowych pojawiły się tytuły obwieszczające tłustymi czcionkami III lokatę naszej lekkoatletyki w świecie.

Ale uzyskane wyniki oraz pewne komentarze pomocowe odwracają uwagę od błyskotliwych

wydarzeń na stadionie — i nasuwają poważniejsze refleksje.

Wysilek dotychczasowego sezonu musiał się odbić na kondycji fizycznej i psychicznej większości zawodników. Wiadomo, nawet maszyna zużywa się przy bardziej intensywnym działaniu, a co dopiero tak kapryśny organizm, jak ludzki! Ponadto, nadmiar rozmaitego typu zawodów, krajowych i zagranicznych — poza naturalnymi emocjami, czy wrażeniami turystycznymi — budzi presję i zniechęcenie do coraz więcej wyśrubowanych koncentracji psycho-fizycznych.

Przesył. Doprawdy, nigdy nie okazywałyśmy szacunku dla cnoty zwanej umiarem. Skoro tylko nabraliśmy pewności do kapitału zgromadzonego przez dziarskich lekkoatletów, zaczęło się typowo polskie trwonienie na lewo i prawo.

Każde zwycięstwo wywoływało nową falę entuzjazmu i jednocześnie rosła zaborczość kibiców oraz działaczy. Początkowo zadawała nas trzecia pozycja w Europie, później druga, i wreszcie... Sukcesy stały się zrozumiałe, zwyczajne. Każdy wynik poniżej

minimum, wyznaczonego przez opinię — był już niemal policzkiem wymierzonym w honor narodowy.

Zespół zawodniczy, którego nazwiska spopularyzowały się szybciej, niż nie jedna kariera polityczno-społeczna — począł odgrywać rolę jakby stajni wyścigowej. Bez prawa do uchybień, nawet bez prawa do odpoczynku.

No, i oczywiście, bohaterowie są zmęczeni. C'est la vie. Niby wszyscy przyjęli z satysfakcją zwycięstwo nad Brytyjczykami — ale już gdzieś tam odezwały się głosy zawodu, że za mało rekordowych rezultatów, że niektórzy reprezentanci spoczęli na laurach, obniżyli loty, czy wręcz zawiedli pokładane w nich nadzieje...

Tak właśnie bywa z błyskawicznie puchnącą popularnością. Jeżeli Sidu nie przekroczy osiemdziesiątki, gdy Foik będzie ostatni na 200 m, a Sosgórnik pchnie kulę zaledwie poza szesnastkę — wybredni „znawcy” kręcą głowami, strofują lub szepcą o przemijaniu sławy sportowej.

Tymczasem, bohaterowie są naprawdę zmęczeni. Mają nawet doświadczenie „bohaterstwa” — i pragnęliby na chwilę powrócić do prywatnego życia, gdzie nie przeszkadzałby im natarczywy doping widowni, wskazówka stopera, taśma odmierzająca długość i wysokość.

Niekiedy chciałoby się powstrzymać ów szaleńczy ped od meczu do meczu, żeby chwala jednego roku — nie przysłoniła rozczarowań następnych lat. Istnieje bowiem zasada równomiernego wzrostu takiej czy innej sprawności życiowej. Nie mówiąc o starych kanonach ekonomii, gdzie wkłady i inwestycje zaczynają być rentowne dopiero po pewnym, prawidłowo obliczonym okresie. Za prędkie sukcesy są równie krótkotrwałe, co wyniszczające. Ekonomia, to całkiem niezła nauka, o czym mogliśmy się przekonać na przestrzeni trzynastoletnia... Tu improwizacja nikomu nie pomoże. Za każdy błąd i brak umiaru trzeba płacić!

Na razie bohaterowie lekkiej atletyki są tylko zmęczeni. Struny nie wolno przeciągać, jeśli nie

chcemy ofiar tego „bohaterstwa”. Niech nas poznaże świat, nie z nagłych „wyskoków”, ale poprzez zdolność zachowania równowagi w osiągnięciach.

Te rzeczy liczą się w sposób trwały. Przypomnijmy sobie rozgłos wokół piłkarzy NRF, którzy zadziwili opinię sportową zdobywając mistrzostwo świata, lecz ich jednorazowy wysiłek i niezważenie na konsekwencje zmęczenia oraz nadużycie sił zdrowotnych — pogrzebały młodość sławie, przyczyniły się do długotrwałego kryzysu. W innej dziedzinie — za rekordy norm, Pstrowski zapłacił własnym życiem.

Niechże władcy lekkiej atletyki, którzy tak ochoczo dyskontują dla siebie sukcesy zawodników — że chyba sami poczuli się bohaterami niezmordowanymi — zadają o wypoczynek dla ludzi. Po prostu dla ludzi, którzy są znużeni bohaterską pozą.

No — i wreszcie sport nie polega na dublowaniu roli cyrku zreszta, bez próby pomizania cyrkowców, za to z pokreśleniem istotnych różnic!

JERZY BOBER

NIE MA ZABAWY bez PANA WŁADZIA

(16)

— Biedny. W szponach hazardu.
— Co ma innego do roboty. Ojciec woli, żeby przegrywał pieniądze aniżeli narażał zdrowie pracując.
— Przecież on jeszcze nigdy nie wygrał.
— Ty też nie wygrałeś za dużo.
— Przepraszam cię. Ja to co innego. Nie jestem nałogowcem.
— Zresztą to mnie nic nie obchodzi. Przegrzajcie, wygrywajcie. Nie moja sprawa. Co do Goładzkiego muszę się popytać. Myślałem że coś wiesz.
— Dlaczego ja? To samo wiem co i ty. Mówił ci może co o mnie?
— Nie! Faleszny dzwignął się z tapczana — W każdym razie gdybyś coś wiedział, daj znać. Lubię wiedzieć co słychać z moimi gośćmi.
— Dobrze. Sam się też niepokoję. Co za czasy? — westchnął Mazurkiewicz. — Killka lat temu zniknął mój dobry znajomy. Przepadł jak kamień w wodę. Znałeś de Laveaux? Faleszny zastanowił się.
— Nazwisko obito mi się o uszy.
— Musiałeś go znać, choćby z widzenia. Węgiel, drzewo, te rzeczy. Wyszedł z domu i więcej ani śladu. A ponieważ przedtem miał coś do czynienia z UB, wzywali go czy coś takiego, łatwo się domyślić jaki spotkał go los. Pewnie siedzi gdzieś bardzo pewnie i daleko. Zrobiliśmy z jego żoną wszystko żeby choć natrafić na jakiś najdrobniejszy ślad. Na darmo. Jak już postarają się żeby ktoś zniknął, to ginie bez śladu. Robota doskonala.
A potrzęsniście portfelem?
Mazurkiewicz zaśmiał się.
— Człowieku, żona gotowa była oddać wszystko za jedną bodaj wiadomość. Próbowaliśmy wszędzie. Chętnych do brania było wielu, ale to nie dawało żadnej pewności, że coś się dowiemy. Po długich poszukiwaniach znalazłem takiego, który oświadczył, że de Laveaux był na Montelupich, ale co się z nim później stało nie umiał powiedzieć. Co za czasy! Gdy sobie to uprzytomnie, naprawdę porwa mnie gniew. Gdzie my żyjemy?
— Nie narzekaj. Mogłoby być gorzej! — oświadczył Faleszny.
— Nie wyobrażam sobie.
Faleszny wyciągnął z kamizelki zegarek.
— Twoi się spóźniają! Na ile grasz dzisiaj?
— Coś tam mam — Mazurkiewicz klepnął w tylną kieszeń od spodni.
— Pamiętaj. Stołek musi być wypłacony. Żadne długi. Odkąd Czeski uciekł nie regulując długu, nie pozwalam na honorowe długi. Po pierwsze nie wierzę w honor pokerzystów, a po drugie dbam o reputację.
— Nie kierujesz tego chyba do mnie?
— Poker zmienia ludzi. Najpierw byś ręczył życiem za człowieka, a potem okazuje się, że gość nawala. Matec rodzinnej przestałbym wierzyć gdyby grała. Mówię to zresztą wszystkim, nie tylko tobie.
— Przyjmuję do wiadomości. Jeszcze jestem człowiekiem odpowiedzialnym za swoje czyny. A jak zdrowie żony?
Faleszny przełknął ślinę. Chwilę milczał zapatrzony w zasłonięte okno.
— Lekarze nie dają żadnej nadziei. Dzisiaj było nabożeństwo na jej intencję. Jutro drugie.
— Jeśli ciebie Bóg nie wysłucha, to już nie wiem kogo ma wysłuchać. Zawsze byłeś pobożny, praktykujący...
Faleszny westchnął i powiedział z przekonaniem.
— Bóg lubi doświadczać.
— Może potrzebujesz lekarstw. Załatwię ci to chętnie. Wiesz że mam w tym wypadku możliwości.
— Ma wszystko co trzeba. Wszystko czym dysponuje medycyna.
— Psiakrew — strzelił palcami Mazurkiewicz — gdybyś wyjechał z nią zagranicę. Tam są specjaliści o których się nam nawet nie śniło.
— Za późno — Faleszny wznosił oczy do sufitu — już za późno.
— Lekarze lubią straszyć. Może nie jest tak źle...
W pokoju gdzie grano w pokera odezwały się znowu ożywione głosy. Gospodarz rozłożył ramiona.
— Nie mogę nauczyć tych ludzi że tam gdzie się gra powinno być cicho. Żadnej kultury nie mają. A nie mogę dopuścić by zrobiono z mego domu jakąś podłą spelunkę. — Szybko poszedł zażegnać nieporozumienie. Mazurkiewicz słyszał jego ściszone lecz sta-

nowczy głos. Spór został szybko zlikwidowany i znowu rozległ się szelest tasowanych kart.
Mazurkiewicz stanął w drzwiach. Napięte twarze mężczyzn śledziły z przejęciem ruchy partnera który rozdawał karty.
*
— Gra pan dalej? — spytał młody blondyn uderzając koniuszkami palców w talię kart leżącą przed nim na stole. Mazurkiewicz rozejrzył się. Falesznego nie było w pobliżu. Nachylił się nad stołem.
— Grałbym, lecz nie mam przy sobie więcej gotówki.
Blondyn zwrócił się do pozostałych partnerów.
— Co panowie sądzicie o tym?
Gruby, czerwony na twarzy jegomość wyglądający na rzeźnika chrząknął miast odpowiedzi. Drugi, elegancki pan rozparty szeroko na krześle podniósł i opuszczył rękę.
— Oczywiście, ewentualne długi spłacam do dwudziestu czterech godzin — dorzucił szybko Mazurkiewicz widząc niezdecydowanie przy stoliku.
— Ostatecznie jesteśmy dżentelmenami — powiedział elegancki pan poprawiając się na krześle.
— Niech będzie — zgodził się grubas.
— Pozwólm się odegrać — roześmiał się blondyn. — Pan daje karty — podał talię grubemu.
— Proszę tylko nie mówić o tym Falesz-nemu — rzekł cicho Mazurkiewicz.
— Och, to jest tylko wyłącznie między nami. — oświadczył blondyn. — Faleszny dostaje stolowe i nie wolno mu się wtrącać do gry.
— Siusnie — potwierdził elegancki pan zerkając ostrożnie do swoich kart. — Ale ad rem panowie.
Pulę wygrał blondyn.
— Trzy walety — pokazał grubemu, który wyrzucił na stół trójkę dziesiątek.
— Znowu te dupki — sapnął grubas. — Inżynier ma dzisiaj szczęście.
— Muszę wygrać! — uśmiechnął się blondyn nazwany inżynierem. — Drugi dzień nie ma mnie na kopalni, trzeba nadrobić straty...
— Które ponosi państwo — zażartował elegancki pan tasując flegmatycznie karty.
— Muszę przecież z czegoś żyć.
— Grać, grać — ponaglał gruby zacierając ręce.
Po godzinie Mazurkiewicz przegrał kilkadziesiąt tysięcy. Spokojnie, gładząc tylko od czasu do czasu włosy wchodził do gry, przebił i przegrywał. W pewnej chwili poprosił o zmianę kart.
— Doskonale — rzekł elegancki pan. — Panie Faleszny przechylił się przez krzesło w stronę drugiego pokoju gdzie siedział właściciel mieszkania. — Nowe karty!
Faleszny skwapliwie przyniósł nową talię, zreczenie rozdarł opakowanie i rzucił karty na stół.
Elegancki pan sprawdził czy talia ma odpowiednią ilość kart.
— Talie zmienia się albo gdy wierzy się że stara przynosi człowiekowi pecha, albo gdy nie dowierza się partnerom — mówił spokojnym tonem uśmiechając się do towarzyszy.
— Nie lubię tłuszciochów — odparł Mazurkiewicz.
— Ho — roześmiał się inżynier — i gra pan z kolegą Cybułą.
— Proszę się nie czepiać — warknął grubas. — Jest gra czy nie?
Umilkli, Mazurkiewicz wysoko przebił i pozostał odpadł.
— Gotów jestem uwierzyć, że zmiana talii przyniesie panu szczęście — pokręcił głową inżynier.
— Jeszcze nie dnieje — wtrącił Cybuła.
O czwartej nad ranem zrezygnowano z dalszej gry. Mazurkiewicz wystawił bony na siedemdziesiąt tysięcy złotych.
Inżynier, który wygrał tę sumę od niego schował bon do portfela.
— Proszę pana — powiedział rzeczowo — nie będziemy się bawić w high life. Dzisiaj wyjeżdżam do Katowic i będę w Krakowie za pięć dni. Zwróci mi pan pieniądze po moim powrocie.
— Mogę jutro — rzekł Mazurkiewicz bez zmużenia oka.
— Wystarczy za pięć dni — odparł inżynier. — Siedemdziesiąt tysięcy to nie bagatela. Wiem co to znaczy. Ja na przykład byłbym w dużym kłopotcie gdybym musiał w ciągu dnia przygotować panu taką sumę. Ma pan pięć dni czasu. Dobrze?
— Jak pan sobie życzy. Czy mam panu podać adres?
— Skądże znowu. Spotkamy się tutaj. Być może że pan się odegra. Dzisiaj wyjątkowo panu nie szło.
— Co zrobić? — Mazurkiewicz rozłożył ręce.
— Napijemy się po jednym koniaku. Dobrze nam to robi — elegancki pan położył ręce na ramionach inżyniera i Mazurkiewicza. — A pan, czy pan pija koniak? — zwrócił się do Cybuły.
— Wolę czystą gorzałkę — odpowiedział Cybuła ziewając jak hipopotam.
— To też podobno smakuje — elegancki pan mruknął do inżyniera.
— No, przegrani, wygrani? — Faleszny zjawił się w pokoju.
— Na równo — oświadczył inżynier. — Niech pan nam da koniak, a temu panu...
— Czyściecie — mruknął grubas.
— Służę panom! —

— Pójdę się przejść po Krakowie — rzekł elegancki pan. — Mam o ósmej rano ważną konferencję w banku i nie warto mi się już kłaść spać. Planty o tej porze są wspaniałe.
— Kto tam chodzi na zebrania — machnął ręką inżynier.
— Przyjeżdża komisja z Warszawy i muszę być przy tym. Pan wie? Nastawienie jest takie, że zawsze wszystkiemu winien dyrektor. Trzeba wysłuchać co nowego wymyślono, żeby nam obrzydzić życie. Moja posada to chodzenie po linie. Jedno poślizgnięcie i leci się na łeb. Należy być przytomnym. Nieobecni nie mają racji. U was w kopalni może jest inaczej, skoro pan bez niczego opuszcza sobie kilka dni.
— Gdzie tam — parsknął śmiechem inżynier — na pewno okrzyczą mnie bumelan-tem. Rady, popy, szmopy. Czekam tylko żeby mnie wyrzucili. Sam odejść nie mogę.
— Zakładac spółdzielni, zakładac — wtrącił się Cybuła — ja nie narzekam. Spółdzielnia jest, obowiązek spełniony, ciaczkę leca i człowiek jest panem siebie.
— Strasznie pan smutny — powiedział inżynier z ubolewaniem do Mazurkiewicza.
— Bardzo mi przykro, że pan tyle przegrał. Ale fortuna kołem się toczy. Dzisiaj pan, jutro ja.
— Przykro mi tylko, że nie mogę wypłacić panu przegranej od razu. Nie lubię być nikomu nic dłużny.
— Ach, niech się pan tym nie przejmuj — zaśmiał się inżynier — zresztą z góry pan zaznaczył, że w razie czego płaci pan później...
— Wtedy myślał, że wygra — powiedział Cybuła.
Faleszny przyniósł na tacy butelkę rzadziejego koniaku i kieliszki. Osobno sporą literatkę czystej.
— Są sardynki — zaofiarował kładąc taczkę na stole.
— Obiad mam w domu — rzekł Cybuła i jednym haustem wypił swoją wódkę.
Elegancki pan i Mazurkiewicz sączyli koniak powoli.
— To jest picie? — wzruszył ramionami Cybuła.
— My nie pijemy — odpowiedział elegancki pan — my sprawiamy sobie przyjemność.
Faleszny przysiadł na krześle obserwując swoich klientów.
— Jak się grało?
— Nie szła mi dzisiaj karta — poskarżył się elegancki pan. — W ogóle ostatnio nie idzie mi u pana, panie Faleszny.
— Nie moja wina — Faleszny skrzywił się jak na pogrzebie. — Może gdzieindziej pan dyrektor odnosi sukcesy?
— Myśli pan o kobietach?
— O kobietach, o banku, o wszystkim...
— Kobiety kosztują za dużo zdrowia. Bank w tym stroju jest zamierającym przeżytkiem, a wszystko, panie Faleszny, nie ma żadnego sensu. Jedynie karty są niezależne od tego co się dzieje na świecie. Dają poczucie absolutnej niezależności. Ja i karty. Wolno mi decydować, wolno mi ufać, wolno popuścić wodze fantazji. Dlatego gram. A poza tym można jeszcze wygrać dużo pieniędzy w sposób mało kłopotliwy.
— Czasem się przegrywa — zauważył Faleszny.
— Dlatego też warto grać. Przegrana jest zwycięstwem nad wrodzoną skłonnością do przywykiwania większej wagi do pieniędzy. Wygram, to mam przyjemność z pieniędzy. Przegram, mam przyjemność z pokonania w sobie wielkiego wroga. W obydwu wypadkach jestem zwycięzca.
— Pan zawsze filozofuje — rzekł ponuro Faleszny.
— Tym się różnię od zwierzęcia, panie Faleszny! I lepiej daj pan jeszcze po koniaku, aniżeli wtrącać się do rozmowy. Prawda, panie Władysławie?
— Przysięgam panu szusność. Sam się nie raz zastanawiałem czemu mnie tak ciągnie do kart. Pieniądze? Nie. Raczej przegrywam, a nie mam natury takiej, która by żądała ode mnie powetowania strat. Tylko coś jest takiego co mnie ciągnie.
— W kartach człowiek sam i ostatecznie decyduje.

— Może to właśnie.
— Na pewno to. Innego pola do popisu w tych czasach niestety nie mamy. Czy pan czymś decyduje?
— Raczej nie.
— Widzi pan. A człowiek instynktownie odczuwa potrzebę decyzji. To daje mu siłę i poczucie wartości. Człowiek musi decydować by żyć. Nie ma ujścia w jednym kierunku, szuka go w innym. To naturalny bieg rzeczy. I pan i ja spotykamy się w tym samym punkcie. Pan Cybuła też, oczywiście.
— Ja? — zdziwił się grubas — bo ja wiem. Lubię te obrazki trzymać w rękach. Dzwonki, czerwienie, wina. Ja to lubię. A czy ja wiem dlaczego. Moja stara przesiaduje w kinach. Ona lubi kino. A jak już są jakieś balety w kinie, jakieś przyjęcia, siedziabym całym dniami. Taka jest. Ja wolę karty.
Inżynier przysłuchiwał się z ciekawością rozmowie. Nie zabierał głosu, gdyż nie chciał zbyt pochopnie wyrażać swego zdania. Elegancki pan wyraził wszystko to czego od dawna nie urniał w sobie skonkretyzować. Starał się wbić w pamięć jego słowa. Postanowił bowiem powtórzyć je swojej żonie, która nie rozumiała jego pociągu do hazardu. To nie była żyłka karciana. To miało jak wynika ze zdań eleganckiego pana, głęboki podkład psychologiczny.
Faleszny przyniósł znowu koniak i wypili. W drugim pokoju również zakończono partię i mężczyźni chodzili po mieszkaniu przeciągając się i prostując kości. Otwarto szerzej okna, by przewietrzyć pokoje, w których unosił się gęsty opar dymu tytonio-



wego. Było już widno i na ulicy rozlegały się już głosy kroków przechodniów. Powoli sunęła jezdnią polewaczka szumiąc strumieniami wody po asfalcie.
— Ile panu przeleciało dzisiaj? — pytał któryś z graczy. Faleszny nie odpowiedział. Wygrani wypłacili mu już swój procent i nigdy nie rozpowiadał ile zarobił. To była tajemnica domu i tajemnica wygranych.
Uściwszy rachunki za konsumpcję mężczyzn powoli rozchodzili się do domów. Mazurkiewicz wyszedł jeden z pierwszych. Na rogu ulicy przystanął i zamyślił się. Przegrzył wargi mrużąc oczy. Potem z nagłą energią ruszył przed siebie.
V.
Telefon był stale zajęty i Mazurkiewicz nie mógł się porozumieć z Kobroniem. Wreszcie gdy uzyskał połączenie powiedziano mu, że Kobron jest obecnie w którymś ze swoich sklepów. Zaczął więc objazd po Krakowie. Nie miał jednak szczęścia. W jednym ze sklepów Kobron już był, w innym spodziewano się go dopiero, w trzecim nie wiedziano w ogóle czy dzisiaj się zjawi. Z Podgórze Mazurkiewicz musiał jechać tramwajem. Nie miał już pieniędzy na taksówkę. Opel stał w garażu i dopiero jutro miał otrzymać nowe łożyska. Trzeba było poruszać się po mieście taksówkami. Ostatnie dwadzieścia złotych Mazurkiewicz wysypiał w domu ze starej marynarki. Był bez pieniędzy. Na dworze upał i tramwaj włócił się Starowiślną beznadziejnie długo. Spocyny Mazurkiewicz wachlował się gazetą. Jakiś niezajany usiłował wszcząć z nim rozmowę lecz Mazurkiewicz nie miał ochoty na towarzyską wymianę zdań o pogodzie. Mruknął coś w odpowiedzi i przesunął się ku wyjściu tracąc kontakt z przygodnym rozmówcą.
Przy Poczcie wysiadł i szybkim krokiem udał się na Rynek. W Europejskiej Kobronia również nie było. Przysiadł się na chwilę do Bundla, który urzędował przy swoim stoliku. Udając, że szuka portfela zaklął, po czym poprosił Bundla o pożyczkę dwustu złotych.
— Cholera, zapomniałem portfela w innym ubraniu i jestem bez forsy. Pożycz mi. Jutro ci wrócę.
Bundel bez słowa sprzeciwu wyjął dwie setki i wręczył je Mazurkiewiczowi, który ostentacyjnie wsadził je do kieszeni. Potem już pewniej rozejrzył się po kawiarni.
(Ciąg dalszy nastąpi)